Nr. 43. Lwów. — Czwartek dnia 21 lutego. Rok 1889.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie (bez dostawy):	Na prowincji (z przesyłką pocztową):
Miesięcznie zł. 75 ct.	Miesięcznie 1 zł
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Innej się nie przyjmuje.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej l. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują: Trafika J. Ważnego, przy ulicy Czarnieckiego liczba 2. — Trafika przy ulicy Karola Ludwika liczba 5. — Trafika przy ul. Ossolińskich (obok Łazienek Diany). — Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika liczba 9.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Eleonory. Jutro: Piotra Kat.

Adres Redakcji i Administracji: ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 0. Zachód „ 5 „ 26.

Długość dnia g. 10 m. 26. Przybyło dnia 3 min.

Przegląd polityczny.

Lwów 20 lutego.

Na mniejszą skalę powtórzyły się we wtorek w Neapolu te same rozruchy, których widownią był Rzym w drugim tygodniu bieżącego miesiąca. Nie są to wypadki luźne, niespodziewane i niezrozumiałe, owszem, są to zapowiadane z dawna głosy socjalnej nędzy. W połowie stycznia w Parmie przebiegał ulice czterotysięczny tłum robotników, narzekając na głód i nosząc na długich drągach napisy „Chleba i pracy!" Policja dla uspokojenia demonstrantów zażądała pomocy wojska. Nie znaleziono mądrzejszego sposobu i wtedy, gdy wnet potem zgłodniałe tłumy zrabowały w Faenzy sklepy z chlebem. To samo powtórzyło się w Medjolanie, gdzie 7000 głodnych krzyczało na ulicach: „Chleb lub zniszczenie!" W Ferarze w Apulji, w Sycylji i Sardynji rozruchy głodowe wciąż się powtarzają.

A rząd pana Crispiego nic dotąd nie zrobił dla załagodzenia nędzy, tylko wojskiem jej objawy tłumił. Radykalne dzienniki, których bynajmniej nie można posądzać o zamiar dyskredytowania rządu, zarzucają mu wyraźnie brak przedsięwzięcia rozsądnych środków, o pomoc głodnym. Te wszystkie dzienniki bardzo ponuro przedstawiają socjalne położenie Włoch. I tak *Messagero* pisał w numerze z 4 lutego: „Przechodząc przez dzielnice robotnicze, można widzieć samych tylko mężczyzn, którzy w kwiecie wieku zmuszeni do bezczynności, dzień cały spędzają z rękami w kieszeni i fajką w ustach, usiłując paleniem zaspokoić kurczący się od głodu żołądek. Chodzi tu nie o setki robotników, ale o całe tysiące, z których większa część jest ojcami rodzin. Mężowie, żony i dzieci [illegible] niemal zupełnie [illegible]. Armja zgłodniałych rośnie z każdym dniem, a skutkiem tego najpotworniejsze teorje rewolucyjne, których dawniej słuchali robotnicy z niedowierzaniem lub z obojętnością, dziś znajdują wśród nich chętny posłuch. Jeżeli rząd nie dba, jeżeli nie zostaną przedsięwzięte środki celem uratowania tysięcy rodzin od rozpaczy, to należy się obawiać bardzo, ale to bardzo złych następstw."

Liberalny organ *Don Kiszot* z dnia 5 bm. pisze: „Rozpoczęcia robót publicznych domagają niektóre względy ekonomiczne, aby zapobiedz wielce niebezpiecznym rozruchom, ale także i uwagi na wyższe cele polityki narodowej. Zwłoszczenia Rzymu nie można uskutecznić tylko tym sposobem, że się tłum młodych ludzi pod [illegible] p. Crispiego, aby wrzeszczeli na całe gardło: „Precz z Papieżem!" — lecz trzeba także zwrócić uwagę na położenie ekonomiczne, w jakiem obecnie z dawnemi czasy przedstawia się strasznie."

Główną przyczyną tego opłakanego położenia jest upadek rolnictwa skutkiem nadmiernych podatków, niskiej płacy dziennej i wielkich przestrzeni nieuprawianej ziemi. Już we Francji uskarżają się na zbytnie opodatkowanie ziemi, we Włoszech zaś stopa podatkowa jest 3 razy większa. Sam bezpośredni podatek pochłania niemal ⅓ czystego dochodu; do tego przybywają podatki pośrednie, z których najbardziej uczuwać się daje ludności pracującej opłata od soli. Brakowi soli w chlebie, wypiekanym dla ludności ubogiej, przypisują hygieniści grasowanie pellagry, czyli febry żółtej.

Jak właściciele jęczą pod ciężarem podatków, tak robotnicy cierpią skutkiem bajecznie niskiego zarobku. Płaca dzienna przeciętnego robotnika wynosi od 35 do 55 centezimów. Łatwo się domyślić, że z tego, przy najmniejszych wymaganiach i zupełnie ograniczonych potrzebach, rodzina robotnicza utrzymać się nie może.

Dawne przysłowie: „*Latifundia Italiam perdidere*" ma i po dzisiejszy dzień zupełne zastosowanie. Olbrzymie przestrzenie leżą nieuprawiane, które jednak przy pewnej pracy i nakładzie mogłyby być urodzajnemi. Obliczają we Włoszech 56 miljonów hektarów nieuprawionej roli.

Ogólne położenie ekonomiczne jeszcze bardziej pogarsza opłakany stan finansów włoskich. Teraźniejszy minister skarbu Perazzi odsłonił go jeszcze bardziej przed izbą, oświadczając bez ogródek, że niedobór tegorocznego budżetu wynosić będzie 191 miljonów lirów. Na pokrycie tej sumy mają być użyte fundusze kas emerytalnych, a nadto — rzecz w istocie nie do uwierzenia — p. minister zamierza podatek gruntowy podnieść o 10%, opłatę zaś od soli o 5% od kilo. Więc właśnie te ciężary podatkowe, które spowodowały przesilenie i nędzę, mają być jeszcze podwyższone! Czegoż więc spodziewać się należy w przyszłości?

Projekta wynalezienia innych źródeł dochodowych w rzeczywistości okazały się nieudałemi. Rząd n. p. zamierzał zagarnąć pozostałe fundusze instytucyj pobożnych. Rabunek ten wywołałby nowy zatarg z Kościołem; w dodatku zaś są to małoznaczące resztki po tem, co rząd włoski już zagarnął, a przeto skarbu zgoła nie zasilą.

Projektowano również podwyższenie podatku od biletów kolejowych; ale i temu stoją na przeszkodzie względy, iż w takim razie ruch pasażerski się zmniejszy i nietylko nic się nie zyska, ale towarzystwa kolejowe znaczne poniosą straty.

Przesilenie agrarne odbiło się na całem życiu ekonomicznem Włoch. Staro-niemieckie przysłowie: „jeżeli chłop ma pieniądze, ma je i cały świat" tutaj sprawdziło się najzupełniej. Przemysł, z którego rozwoju tak dumne były Włochy niedawno jeszcze, dziś przechodzi przesilenie cięższe, niż gdziekolwiek. Swindel i gründerstwo zrobiły również swoje. Przedsiębiorstwa składane jedynie w celach spekulacyjnych, musiały niebawem przy takiem położeniu rzeczy upaść. Od tego tysiące robotników pozostaje bez żadnego zarobku.

Środki, jakie rząd ma zamiar przedsięwziąć, są tylko paliatywami. Roboty publiczne najpierw dostarczą zarobku tylko na czas ograniczony, a nadto obciążą znowu skarb, który już nie ma wyjścia z kłopotliwego położenia. Nie zanosi się też wcale na to, aby stosunki ekonomiczne w tych warunkach się polepszyły, przeciwnie wszyscy przewidują, że będzie coraz gorzej, cyfra bowiem wydatków państwowych nietylko się nie zmniejsza, ale wzrasta ustawicznie, gdy tymczasem pierwszym radykalnym środkiem byłoby przedewszystkiem zmniejszenie podatków. Skarb ma kłopot w wynalezieniu źródeł na pokrycie tegorocznego niedoboru, a tu potrzeba nadto jeszcze 500 miljonów na uzbrojenia.

Ciężkie tedy czasy przyszły na Włochy. Od wybrzeża Sycylji do podnóża Alp, rozlega się jeden przeraźliwy okrzyk: *Italia ha fame!* Włochy są głodne! Tymczasem p. Crispi pięknie mówi w izbie, obiecuje wszystko poprawić; szkoda tylko, że jego oratorskiemi słowami i szczeremi obietnicami nie można nakarmić tysięcy zgłodniałych, przed którymi w całej grozie stanęło obecnie widmo rozpaczy!

Niemiecki kapitan Wissmann w tym tygodniu odjeżdża do Zanzibaru, dokąd już wyruszyli zaangażowani przezeń oficerowie. Zatrzymają się oni w Adenie, gdzie zakupują pociągowe zwierzęta dla całej ekspedycji, oraz nagromadzą wielkie zapasy żywności. Do *Timesa* piszą z Zanzibaru, że tamtejsi Niemcy jak zbawienia czekają Wissmanna. Wypędzono już ich zewsząd; zostały im tylko dwa nadbrzeżne blokhauzy (ufortyfikowane domy), w których rozpaczliwie się bronią od obiegających tłumów. Są to blokhauzy w Begamoyo i w Dar-es-Salam. Ku tym miejscowościom niedawno flota niemiecka posłała trzy okręty. Dwa z nich — po jednym w każdej miejscowości — będą stale się znajdowały dla obrony blokhauzów, a trzeci będzie wciąż kursował między jednym a drugim punktem, aby mógł w razie nieszczęścia przyjąć na pokład rozbitków.

Korespondent *Timesa* dodaje: „Niemcy się spodziewają, że Wissmann, jak jaki *Deus ex machina*, wszystko odrazu zmieni, kraj uspokoi, buntowników wywiesza, panowanie niemieckie przywróci. Są to zanadto różowe nadzieje. Niezaprzeczenie, potęga niemiecka złamie Zanzibarczyków, ale nie prędko, nie łatwo i nie małym kosztem. Wielkie trudności czekają Wissmanna i sądząc po ludzku, trzeba raczej przewidywać jego klęskę, jak zwycięztwo."

Korespondencje.

Wiedeń 18 lutego.

(?) Odbył się zatem „protest niewyborców" — bo na takie zaledwo miano zasłużyła wielka, zapowiadana demonstracja peszteńska. Właściwa ludność stolicy Węgier nie wzięła w niej udziału. Może zatem nareszcie można w tem widzieć oznakę, że skończą się jałowe rozruchy, że rząd na chroniczność swawoli znajdzie sposoby. Osoby, które dzisiaj tu z Pesztu przybyły, zapowiadają, że niebawem wiatr się odmieni, że się ockną żywioły poważne, że wkrótce Tisza będzie przedmiotem owacyj, które go wynagrodzą za przykrości uliczne...

Nie wątpię, że te bezrozumne rozruchy peszteńskie dobrze już zmęczyły czytelników *Przeglądu*; wolę zatem pochwycić inne, lepsze echo z Pesztu. Oto wystawiony tam jest Matejki „Kościuszko", a w *Pester Lloydzie* znajdujemy następujące ocenienie dzieła:

„Po obrazach ponurych, w których się gubi nowoczesny naturalizm, po bezdusznych kopiach powszedniości, które rodzajowe malarstwo uczyniły tak jałowem i płaskiem, lżej się robi na sercu, gdy się spotka przecież znowu prawdziwy idealizm, który wcale nie traci na porywającej sile przez to, że także i nędzę ludzką swojem promieniem obejmuje. Matejko, wielki malarz Polaków, kaznodzieja miłości ojczyzny, przemawiający gorejącemi barwami, jeszcze nas żadnem dziełem tak nie porwał, nie rozgrzał jak tem obecnem: „Kościuszko pod Racławicami." Nie jest to stereotypowe malowanie kroniki, nie jest to konwencjonalne rozrzucanie zbroi i kostjumów, nie jest to sztywna symetrja obrazów bitew, które je robi nieznośnemi, bezmyślnemi i zgoła nie malowniczemi. Jest to nowy rodzaj, nowe pojmowanie, jest to epos bohaterskiej wojny, które nam Matejko przedstawia. Matejko jest malarzem konającego ludu, jest piewcą jego przeszłości, prorokiem jego możliwej przyszłości. Tego etycznego, głębokiego znaczenia nie miały utwory Makarta. Między trzema *M* austro-węgierskiego malarstwa jest Makart poganinem, Munkaczy chrześcijaninem, Matejko synem narodu, arcykapłanem jego Zmartwychwstania. Obraz taki jest zdolny rozszerzać propagandę na rzecz szlachetnego narodu, który za swoje ciężkie grzechy ciężko pokutuje. Naród, który wydaje talenta takie jak Mickiewicz, Kraszewski, Matejko, a bohaterów takich jak Kościuszko, ma prawo do tego, żeby się jego losem zajmowano, chociaż marzenia jego rozbijają się o trzeźwy sąd. Lecz braterskie uczucia między mieszkańcami po obu stronach Karpat od wieków, mogą objawiać się bez względu na polityczne różnice, a takie dzieła jak „Kościuszko" mogą je tylko podsycać. Tak to sztuki piękne spełniają swoje wzniosłe posłannictwo, zbliżają ludy, które polityka ciągle rozdwaja. Czyliż nie byłoby możliwem żyć w przyjaźni także z ludem, który wydał Turgieniewa, Dostojewskiego, Tołstoja, Wereszagina, który Zichyego i Rubinsteina podniósł, gdyby cezaryjskie szaleństwo nad Newą nie rzucało się ciągle na inne narodowości, dla których nadejdzie przecież kiedyś godzina wyzwolenia... W Matejce odżył genjusz polski i protestuje przeciw politycznemu zniszczeniu ostatniego stulecia. Płonące farby malarza wołają wymownie: takich mężów, taki lud miała Polska i musiała uledz!"

Krytyk węgierski i wyborny fejletonista dr. Adolf Silberstein opisuje dalej szczegółowo „wielkie prawdziwe arcydzieło", podnosi jasność kompozycji mimo rozmaitych grup i 60 głów charakterystycznych. „Jest to najwyższa dojrzałość artystyczna uczynić tak przejrzystym przedmiot zawikłany, że widz od razu w środku akcji się znajduje".

„Cały obraz bije uczuciem zwycięztwa, dumy, wdzięczności"...

„Sztuka Matejki objawiła się tu nietylko w panowaniu nad farbami, nad światłem, perspektywą, nad charakterystyką postaci, ale w momencie etycznym, w oddaniu uczucia, usposobieniu po zwycięztwie narodowem; w tem przejawia się idealność sztuki w przeciwieństwie do fotograficznego realizmu. Wszystkie postacie mają duszę, a malarz umiał ją pokazać, tę duszę ludu, który tryumfuje i ma nadzieję.

„Tak jak Kościuszko w tym obrazie, będzie chyba wyglądał bohater przyszły, który poprowadzi naród do skruszenia jarzma... Idealizm Matejki, jego miłość ojczyzny nie są oderwane, puste, one godzą się z realizmem przedmiotów, które są oddane ze ścisłą historyczną prawdą. Więc są tu i straszne sceny wojenne, ranni i zabici. Ale Wereszagin malował satyry potępiające wojnę zdobywczą; Matejko maluje wojnę, która prowadzi lud w obronie najświętszych interesów; taka wojna objawia się p r z e m i e n i o n a, mimo swoich okropności. Matejko okazuje, że sztuka może oddawać piękne strony ludzkiego życia bez ubliżenia prawdzie. Malarstwo Matejki rywalizuje z poezją; patrząc na jego obraz, chcemy śpiewać pieśni wolności Petoeffiego..."

Niechże to będzie dobrą wróżbą, że właśnie w czasie wstrętnych rozruchów — dochodzi nas z Węgier i takie echo — szlachetne i mądre.

Peszt 18 lutego.

Wczoraj po południu odbyła się nareszcie ta „wielka demonstracja uliczna", za którą od paru dni tak silnie agitowano pomiędzy mieszczaństwem, młodzieżą i klasą robotniczą, ustnie, afiszami, niektórymi dziennikami i t. d., że zdawało się, iż wyłoni się z niej Bóg wie co. Tymczasem *parturiunt montes* — i zrodził się zwykły pochód po głównych ulicach miasta, w którym wzięło udział około 10 do 12 tysięcy przeważnie młodzieży akademickiej i szkół średnich, pochód ożywiony rozmaitymi okrzykami, hasłami, ale w całości dość spokojny, bez zaburzeń i ekscesów.

Charakterystycznem jest, że w pochodzie tym nie wzięli udziału obywatele poważniejsi. Wszystko, co ma stanowisko, czy to w pośród inteligencji, czy w stanie kupieckim, wszystko co spokojną pracą intellektualną lub fizyczną przyczynia się do istnienia i rozwoju społeczeństwa, wszystko to zatrzymało się na uboczu, w roli niemych spektatorów przyglądających się tu i ówdzie z rogów ulic pochodowi. Nawet rękodzielnicy i wyrobnicy dzienni nie wzięli gremjalnie, korporatywnie udziału w tej demonstracji; widziano tylko gdzieniegdzie na pojedynkę zaplątanego między młodzieżą szkolną jakiegoś robotnika, czeladnika szewskiego lub krawieckiego. Jedyny wyjątek stanowili robotnicy z pewnej większej fabryki obuwia, którzy osobnym oddziałem wyruszyli.

Punktem wyjścia pochodu był plac Kalwina. Począł się on ożywiać już około południa; przybywały tu szybko oddział za oddziałem młodzieży akademickiej, która od rana, opatrzona rozmaitego koloru odznakami uganiała powozami po wszystkich przedmieściach, ażeby ludność zachęcić do udziału w „wielkim protestacyjnym pochodzie." W godzinę później uszykowały się wszystkie oddziały młodzieży w liczbie szesnastu, każdy z osobnym sztandarem. Na sztandarach były rozmaite napisy w duchu protestowiczów, jak n. p. „Nem kell Tisza Kálmán" (Nie chcemy Tiszy Kolomana); „Elyen a magyar nyelv" (Niech żyje język węgierski!); Le Tisza Kalmannal!" (Precz z Tiszą); „Le a 25 § ussal!" (Precz z § 25!) i t. p. Skoro grupy uszykowały się i rozwinięto sztandary, zaczęła się na trotoarach po brzegach placu zbierać publiczność i otwierano okna. Kiedy zegar na kościele luterskim uderzył pierwszą, rozległy się pierwsze okrzyki: Eljen! z pewnej grupy stojącej pod balkonem, na którym w niezwykłej liczbie była zgromadzona płeć piękna! Owo Eljen wzniesiono tylko na cześć tych pań, całkiem przypadkowo, ale dzięki okrzykowi, po wszystkich grupach rozlał się zaraz animusz wielki — i jakby na dane hasło wszystkie grupy skupione pod swymi sztandarami zaintonowały *unisono* pieśń narodową „Szózat", potem pieśń Koszuta.

Podczas tego z publiczności mężczyźni odkryli głowy, a panie z okien powiewały chustkami. Powoli do grup zaczął się przyłączać tłum uliczny. Środkiem tłumu snuli się tam i napowrót aranżerowie pochodu z minami arcypoważnemi, snać w poczuciu odpowiedzialności, jakaby spadła na nich w razie nieszczęścia; przebiegali także kolporterowie pism, którzy wciskali publiczności masę poematów okolicznościowych w tonie strasznie ostrym i groźnym...

Tak minęło pół godziny. Tłum tymczasem wzrastał i rozciągał się już od ulicy Rzeźnickiej do Rynku. Tramwaj już przestał kursować. Zaczęli się schodzić patrjotyczni przywódzcy narodu. Pierwszy pojawił się stary Józef Madarasz, prowadząc na ramieniu młodą damę i pięknego sześcioletniego chłopczyka; drugim z notablów był Otton Herman na miejscu.

Czas jeszcze jakiś gromadzono się ciągle, tłum rósł i posuwał się w kierunku gmachu klubu umiarkowanej opozycji. Stąd przemówił po chwili Akusius Beöthy, który wezwał zgromadzonych, ażeby cofnęli się na plac Kalwina. To się stało i za chwilę — o godzinie wpół do trzeciej — na hasło dane przez Gezę Polonyi'ego pochód ruszył w drogę. Czoło pochodu uformowało się dość porządnie i zatrzymało swą formę przez cały czas. Tylko dwunastu policjantów konnych pod dowództwem starosty Gyalokaya przestrzegało porządku, tj. ażeby torować pochodowi wśród zbitych mas publiczności odpowiednio szeroką drogę. Na czele pochodu posuwał się zwolna wóz tryumfalny w skromnej postaci zwykłego fiakra, który podczas demonstracyj oddawał różnego rodzaju bardzo pożądane usługi. Raz był wędrowną trybuną dla mówców, to znowu służył jako schronisko dla zbyt zmęczonych znakomitości, to jako salon do przyjęcia hr. Gabrjela Karolyi'ego, to wreszcie jako stos, na którym spalono niektóre dzienniki, o czem później będzie mowa. Pod balkonem gmachu kasy oszczędności, gdzie mieści się klub umiarkowanej opozycji, zatrzymano się chwilę, wołając: „Eljen Appony!" Zamiast Apponyi'ego ukazał się na balkonie Akusius Beöthy, który w kilku słowach przemówił do tłumu, dziękując za pojawienie się jego i wzywając do zachowania ścisłego porządku. Mowę zakończył on wznosząc „Eljen" dla króla, któremu stokrotne przywtórzyło echo.

Tak ruszył pochód dalej, poprzedzany przez policjantów, którzy rozpędzali publiczność. Za policjantami jechał wspomniany fjakier, w nim stał hr. Karolyi i kłaniał się tłumowi na wszystkie strony. U stóp hrabiego siedział wierny jego giermek dr. Zoltan Takacz. Tuż za powozem szła osobna grupa sprawozdawców dziennikarskich, mających białe przepaski na ramieniu, za nią w pewnem oddaleniu szedł Geza Polonyi sam, jak wódz jakiej starożytnej armji, a za nim znowu w pewnej odległości szedł pierwszy chorąży, z trójkolorowym o narodowych barwach sztandarze, na którym czerniał napis: Le Tisza Kàlmànnal. (Precz z Tiszą Kolomanem!).

Za tym pierwszym chorążym w pewnem oddaleniu szedł cały oddział szesnastu chorążych, niosących sztandary z trojakiego rodzaju napisami: „Le Tisza Kálmánnal!" „Le a 25 § sal" i „Eljen a Magyar nyelv." Następnie posuwała się grupa posłów umiarkowanej opozycji i partji niezawisłych w liczbie około dwudziestu nie licząc pań, które wiernie mężom swym i na tej politycznej drodze żywota dotrzymywały towarzystwa, po za tą grupą wreszcie szedł nieskończony tłum szary, mięszanina młodzieży i ludzi starszych ze sfer rękodzielniczych i ulicznego motłochu.

W drodze przed gmachem parlamentu zaintonowano gromkie „Abczug Tisza!" Świeżo ukuta ta piosnka znalazła sopranowe echo aż w ogrodzie Muzeum, gdzie zebrała się czereda chłopaków szewskich i uliczników, która uważała za

---

22)

W walce z losem.

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH.

Przez

Jerzego Myriela.

(Ciąg dalszy).

Pan Józef zamyślił się.

— Wiesz co Malwinko, — rzekł po chwili, — twoje zapytanie daje mi dużo do myślenia. Istotnie, uwaga twoja słuszna, przecież miałem tylu przyjaciół, wszyscy oświadczali mi się z życzliwością, wtenczas co prawda, kiedym jej nie potrzebował. Dziś...

— Dziwny jesteś doprawdy. Czy chcesz, żeby cię sami szukali?

— Jak to?

— No czy mówiłeś z kim o swojem położeniu, prosiłeś?

— Nie.

— A widzisz. Zdaje mi się, że źle robisz, siedząc ciągle w domu i nie starając się zbliżyć do ludzi, którzy okazywali ci życzliwość. Powinieneś wyjść na miasto, spotkać się z tym lub z owym, przecież każdy z nich ma jakieś znajomości, stosunki.

— To prawda, Malwinko, lecz przyznam ci się, że w dzisiejszem mojem położeniu...

— Nie rozumiem cię.

— Dziś kiedy jestem biedny i wszyscy w mieście o tem wiedzą...

— Szczególna rzecz doprawdy. Przypuszczasz zatem, że jeżeli miałeś życzliwych i przyjaciół, to tylko dzięki stanowisku twego ojca i opinji majętnego człowieka?

— Tak mi się zdaje przynajmniej.

— A wstydź się! Czyż nie wierzysz w przyjaźń szlachetniejszej natury? czy nie przypuszczasz, że mógł być ktoś, kto zaprzyjaźnił się z tobą nie dla pieniędzy i dla widoków jakichkolwiek, ale dla ciebie samego... dla ciebie?

— Przebiegam myślą moich znajomych — i nie znajduję nikogo.

— To nie podobna. Przecież my, dziewczęta, chowane zupełnie inaczej, pozostawione prawie samym sobie, mamy jednak przyjaciółki, koleżanki z pensji, o których szczerem, bezinteresownem uczuciu nie wątpimy i nie mamy prawa wątpić. Przypomnij sobie tylko, a niezawodnie znajdzie się ktoś... Sam mówiłeś mi nieraz, że masz przyjaciół.

— No tak, ale w tej chwili... doprawdy nie przypominam sobie nikogo, coby mi podał chętnie rękę pomocy.

— Dziwna rzecz, ale dlaczegóż nie wyjdziesz trochę na miasto? dla czego nie poszukasz znajomych? Trudno żądać, żeby sami przyszli do ciebie.

— Masz słuszność Malwinko, pójdę za twoją radą.

— O tak, idź, idź koniecznie.

— Pójdę. Zaraz nawet pójdę do cukierni, gdzie zwykle o tej porze zgromadza się młodzież ze światka, do którego należałem. Pójdę, sprobuję.

— Idź, idź mój drogi. W naszem położeniu należy wyczerpać wszelkie środki ratunku. Pamiętaj, że tu głównie chodzi o Ewunię. Ty jesteś mężczyzna, czy tak czy owak nie zginiesz, dasz sobie radę na świecie. Izia nie posiedzi długo między nami, postanowiła pójść o własnych siłach i pójdzie.

— Tak tylko mówi...

— Pójdzie niezawodnie. Ty nie znasz jej, to charakter stanowczy, a nawet uparty. Jak postanowiła sobie co, dotrzyma bezwarunkowo. Co do mnie... właściwie moja osoba nie powinna iść w rachubę. Ja zawsze znajdę dla siebie kawałek chleba. Pracy się nie lękam, obowiązek każdy przyjmę. Ewcia jednak potrzebuje naszej opieki i my jej tę opiekę dać musimy, to nasz obowiązek. Ojciec patrzy na nas z wysoka, patrzy z lepszego świata i nie błogosławiłby nas, gdybyśmy opuścili to dziecko.

— Prawda Malwinko. Ewcia musi mieć opiekę i będzie ją miała.

— Dla tego proszę cię i namawiam, ażebyś poszedł między ludzi. Porusz wszelkie stosunki, odszukaj przyjaciół, porozumiej się z nimi. Może uda ci się dostać jaką posadę. Ja, ze swojej strony, zrobię co będę mogła, co potrafię. Będę waszą kucharką, pokojówką, sługą. Zamiotę wam mieszkanie, ugotuję, upiorę, słowem zrobię to co umiem i co mogę. Dla Ewci, dopóki opieki tej potrzebować może — będę matką, dla was gospodynią i sługą... a potem...

— Potem? cóż po tem, kochana siostro!

— Po tem co Bóg da. Ludzie bogaci mogą układać plany na odległą przyszłość, bo wiedzą, że do wykonania ich nic na przeszkodzie nie stanie. Biedacy powinni być szczęśliwi, jeżeli mają zapewnione jutro.

— Jak ty poważnie myślisz Malwinko... skąd doszłaś do tego?

— A tak, myśleniem. Widzę co się dzieje i zastanawiam się... zresztą nie jestem przecież taka młodziutka.

— Ty nie młoda!

— Najstarsza z was wszystkich prócz ciebie... ale pocóż lata liczyć?... Czy posłuchasz mnie Józiu czy pójdziesz? czy nie zaprzestaniesz starań?

— Ależ naturalnie, dziś, zaraz, nie czekając.

— Pamiętaj, że mamy obowiązek, że nie wolno nam ustawać w pół drogi; nawet, jeżeli mogę w tym razie mieć głos choćby tylko doradczy, to...

— Dla czegoż nie mówisz?

— Nie chciałabym, abyś słowa moje fałszywie zrozumiał.

— Więc powiedz otwarcie.

— Jabym... jabym na twojem miejscu, Józiu, zrezygnowała z marzeń o korzystnej posadzie, wzięłabym na początek cokolwiek... bo łatwiej, mając już jakiś punkt oparcia, starać się o coś lepszego, aniżeli łudzić się nadzieją..

— Może masz słuszność, ale o cóż się spierać? W tej chwili nie mamy przecież nic do wyboru... nic jeszcze. No, do widzenia, bądź dobrej myśli, wychodzę.

— A wracaj z dobrą nowiną.

Pan Józef wyszedł na miasto i zmierzał do cukierni, w której zwykle gromadziło się kółko jego znajomych, idąc uczuł nagle czyjąś rękę na swojem ramieniu. Obejrzał się, obok niego stał Chrząski.

— Jak się masz Józiu — rzekł — gdzież się podziewasz? zniknąłeś z towarzystw zupełnie... byłem przekonany żeś wyjechał z Warszawy.

— Czyż nie słyszałeś jakie miałem przejścia?

— Wiem, wiem... Ojciec twój... szkoda go doprawdy... a i ciebie także szkoda, bo podobno niewiele odziedziczysz.

— I o tem już cię powiadomiono!

— Co chcesz, nasze miasto niby to duże na pozór, ale plotkarskie, bardziej może niż powiatowa mieścina. Wygraj, lub przegraj w klubie większą sumę, a już nazajutrz wszyscy dorożkarze nawet o tem wiedzą. Tu się nic nie ukryje, jedni drugich znają jak złe grosze. Tak, ale to jeszcze nie racja, żebyś miał stronić od ludzi

— Przeciwnie; mnie się zdaje że ludzie odemnie stronią.

— Ach! są ludzie i ludzie... Przecież ja powitałem cię pierwszy.

— Prawda.

— Ja! a o mnie powiadają, że jestem samolub, egoista, że we wszystkiem kieruję się tylko osobistym interesem.

— No!

— Nie przecz. Człowiek powinien wiedzieć o swojej opinji, i mojem zdaniem, powinien z niej szydzić. Niech mówią, co chcą, a ja robię, co ja chcę. Ot, wiesz co Józiu, pogawędźmy trochę. Dokąd idziesz?

— Chciałem wstąpić do cukierni.

— Zaproponowałbym ci co innego...

— Naprzykład?

— Chodźmy na buteleczkę starego maślacza, pogawędzimy swobodnie, w twojem położeniu należy się trochę rozerwać. I cóż tak patrzysz pytająco?

— Ależ nie...

— Założyłbym się, że myślisz tak jak szanowna opinja. Patrzysz się na mnie i nie możesz skombinować, jaki mam do ciebie interes. Otóż naprożno trudzisz się nad odgadnieniem, bo ja nie mam do ciebie najmniejszego interesu. Ot tak, pogawędzić z tobą pragnę... jedynie przez współczucie, przez sympatję. Cóż, pójdziesz?

— Dobrze, chodźmy.

— O tak, to rozumiem. Trzeba się otrząsnąć ze smutku. (C. d. n.)

swój obowiązek dać także wyraz swoim politycznym opinjom... Z piosnką tą na ustach dotarł pochód do budynku teatralnego, gdzie na pierwszem piętrze mieści się klub niezawisłych. Z balkonu powiewała trójkolorowa chorągiew z napisem: „Eljen Kossuth Lajos!" a obok stał już w pozycji trybuna Koloman Thaly, który, gdy tłum się zatrzymał i uciszył, wygłosił przemowę sławiącą świetne udanie się demonstracji. Potem podziękował wszystkim uczestnikom pochodu za wzorowe zachowanie porządku i rzekł: „Dzień dzisiejszy dowodzi, że rządy Tiszy już się skończyły!" Tutaj przerwały mu mowę gromkie okrzyki: „Eljen a függetlenségi párt!" (Niech żyje partja niezawisłych), „Eljen Thaly! Nem kell Tisza Kálmán! Nem kell Feyervary! Na zakończenie mowy wzniósł Thaly okrzyk na cześć króla, a masy powtórzyły grzmiące „Eljen a király."

Po tym epizodzie zawrócił tłum w ulicę Kerepeską. Przed teatrem ludowym wznoszono „Eljen" na cześć aktorów zgromadzonych na balkonie, a na skręcie do rynku Elżbiety urządzono spopielną owację na cześć śpiewaczki Blaha. Studenci zatrzymali pochód i zaintonowali nową patrjotyczną piosnkę, którą artystka z powodzeniem śpiewa w teatrze, zaczynającą się od słów:

„Megtanitom én mihlyen jó,
„milyen édes a magyar szó."

Diwa ukazała się na balkonie i dziękowała bardzo wzruszona.

Nie trwało to długo, gdyż tylne masy posuwające się z tyłu parły naprzód i popchnęły pochód w dalszą drogę. Przebyto tedy nowe, poczęści niezabudowane jeszcze ulice w okolicy nowego rynku, dalej tak zwany plac Ośmiokątny; przed klubem VI i VII okręgu śpiewano „Abczug Busbach". Na wąskiej ulicy tzw. Kąpielnej powstało chwilowe zamięszanie, wnet jednak dotarło, pod naporem mas idących z tyłu, do placu Petöfego, gdzie pochód znowu uszykował się w większym porządku. Przed hotelem „Hungarja" na balkonie którego stali hr. Stefan Karolyi i Eugenjusz Zichy, próbowano zatrzymać się na chwilę. Jakiegoś studenta podniesiono w górę, i można było widzieć, że przemawiał do stojących na balkonie, ale co mówił tego zapewne nikt nie słyszał, bo tłum krzyczał ciągle „Eljen! Eljenek a Karolyi grófok."

Teraz zaszła ciekawa scena. Hr. Stefan Karolyi ukłonił się z pewnem wahaniem i zaraz się cofnął z balkonu, a toż samo zrobił hr. Zichy nie kłaniając się wcale. Tymczasem zaś na dole hr. Gabrjel Karolyi, wysoko postawiony demokrata, rozgniewany z powodu zachowania się owych dwóch panów, krzyczał na całe gardło: „Ne éljenezzetek a magnasoknak, azok egytöl egyig.....! (Nie krzyczcie na cześć magnatów, oni trzymają wszyscy razem te......") i tu następował wyraz, którego powtórzyć niepodobna, w każdym razie bardzo niepochlebny. A kiedy naród mimo to wywoływał hrabiów, wtenczas za drzwiami balkonu, hr. Gabrjel Karolyi krzyczał dalej: „Hagyàtok, ha mondom többet ütött, emberek azok!" (Dajcie im spokój, bo mówię wam, że to kapuściane głowy ci magnaci!)

Posąg Petöfiego minięto bez zwracania nań uwagi. Na plantach „Csepel" zaintonowano pieśń Kossuta. Tutaj część domu była przybrana powywieszanemi dywanami i napisami „Hazad ak rendületlenül". Okrążywszy pałac urzędu cłowego, czoło pochodu dotarło napowrót do placu Kalwina — była godzina blisko piąta — i tutaj poszczególne grupy rozluźniły się, dając hasło do rozejścia. Nastąpiło ogólne rozprężenie, a w skutek naporu mas zdążających w dalszych szeregach zamięszanie niesłychane. Po nad ogólnem tumultem górowała tylko wyniosła postać hr. Gabrjela Karolyiego, który w swoim tryumfalnym rydwanie stojąc, dał tłumowi na zakończenie jeszcze jedno widowisko. Oto wzniósłszy w górę jedną ręką numer *Nemzeta* — drugą potem zapałkę i aż uroczyście egzemplarz tego rządowego dziennika. Gdy się zapalone kawałki i popielate szczątki rzucił się tłum studentów, podbijał je laskami w górę, wydając przytem wściekłe okrzyki radości.

Taki sam los spotkał najnowsze wydanie humorystycznego pisma *Borszem Janko*, poczem na dobitek spalił hr. Karolyi własnoręcznie w taki sam sposób jeszcze jeden numer *Nemzeta*. — Kiedy już popioły rozbrzano na drobny proszek, oznajmił hr. Karolyi, że „świetna manifestacja jest skończona" i wezwał tłumy do rozejścia się albowiem należy dochować przyrzeczenia danego policji, że porządek zakłócony nigdzie nie będzie. W tym samym duchu odezwał się także Dyonizy Pazmandy, poczem masy narodu zwolna rozchodzić się poczęły.

W pół godziny później plac Kalwina miał fizjonomję, z powodu dnia niedzielnego trochę więcej jak zazwyczaj ożywioną, ale nic nadto.

W ten sposób protestował Peszt przeciw uchwaleniu ustawy wojskowej.

Nazajutrz ogłosił naczelnik policji miejskiej, że podczas demonstracji ulicznej policja nie miała wcale potrzeby wkraczać z urzędu, że nikogo nie aresztowano i żadnego nie zrobiono doniesienia, że przeto wszystko odbyło się — w porządku.

Do kwestji wynarodowienia Polaków na Bukowinie.

W jednym z listopadowych numerów *Gazety Polskiej* czerniowieckiej zamieszczono ubolewanie nad utratą żywiołu polskiego na Bukowinie przez odstępstwo od religji katolickiej i przez przejście na schyzmę. Jako okazję do tych apostazji, a więc i do wynarodowienia Polaków, podano zawieranie ślubów małżeńskich: katolików z schyzmatykami; przyczynę przechodzenia na schyzmę przedstawiono jako wymagania zwierzchników Kościoła katolickiego, którzy przy takiej okazji **żądają rewersu** (!?) od partji katolickiej, a więc polskiej — jeżeli go zaś dać nie chce, to aby przeszedł na wiarę, ... Kościół sam zmusza do przejścia do schyzmatycka. Tak tedy Kościół sam zmusza katolickich Polaków, by od swojej religji odstąpili, a tem samem i wynarodowiali się. Ciekawy taki przykład wynarodowienia się Polaków bukowińskich, winni przeto sami księża katolicy!

Prawdziwie obfita w tym zarzucie treść do nowych oskarżeń przeciw Kościołowi katolickiemu, celem podania go i kapłanów jego w pogardę. Gdyby wrogowie podobne oskarżenia wnieśli, mybyśmy z godnością to znieśli, przekonani, że owoce katolickiego Kościoła i praca kapłanów jego same na siebie na naszę korzyść przemawiają, ale skoro właśni rodacy publicznie, w celu zohydzenia Kościoła katolickiego, takie oskarżenia podnoszą — to boli; i dziwna, że ze strony kapłanów się nikt nie pośpieszył odeprzeć tego zarzutu i skierować go tam, gdzie skierowanym być powinien. Aby się nie zdawało: *qui tacet consentire videtur*, postanowiłem niniejszem powyższy zarzut *Gazety Polskiej* jako niewłaściwy i sofistyczny odeprzeć, a sprawę wynarodowienia na podstawie długoletniej i wszechstronnej osobistej znajomości stosunków bukowińskich katolickich Polaków objaśnić.

Oświadczam tedy stanowczo, że apostazji katolików, a więc i wynarodowienia, między bukowińskimi Niemcami w ogóle nigdy nie ma — a w południowej połowie Bukowiny tak samo i między tamtejszymi Polakami wypadki są bardzo rzadkie. Za to zaś zdarzają się one bardzo często w północnej części Bukowiny i to nietylko między katolikami Rusinami, niejako z reguły, choć bez obawy wynarodowienia, ale też i między katolikami łacińskimi polskiej narodowości — tu już naturalnie z rzeczywistą i znaczną dla narodowości szkodą, i to pomimo najenergiczniejszej obrony zasad katolickich ze strony kapłanów. Wglądnijmyż tedy w przyczyny tego dziwnego zjawiska.

Otóż południowa Bukowina zamieszkałą jest przeważnie przez schyzmatyków rumuńskiej narodowości, używającej też języka wyłącznie rumuńskiego w społecznych, domowych i cerkiewnych stosunkach. Katolicy zaś tamtejsi, lubo wszyscy też po rumuńsku mówią w styczności z Rumunami, to jednak będąc przeważnie niemieckimi kolonistami albo mieszczanami Polakami, pielęgnują w towarzyskich, familijnych i kościelnych stosunkach obok dominującej mowy niemieckiej, także i mowę polską. A chociaż wielu z tamtejszych Polaków nawet zaniedbują swój język, to przecież nigdy na korzyść mowy rumuńskiej, tylko chyba na korzyść mowy niemieckiej, a więc zawsze katolickiej. Ponieważ zaś i mowa niemiecka i mowa rumuńska dla Polaka jest z natury swojej obcą, ponieważ Polacy charakterem też swoim narodowym i Niemcom i Rumunom są obcymi i ponieważ Polacy trzymają się Kościoła katolickiego, który zawsze przy sprawowaniu Sakramentów i obrzędów św. mową macierzyńską, a więc dla Polaków polską — zasady wiary w serca ich wpaja — to też dla tych naturalnych, zewnętrznych różnic (mowy, szczepu i religji) Polak tamtejszy czuje się zawsze Polakiem-katolikiem i równie z niemieckim katolikiem nie ma żadnej przyjemności ani potrzeby identyfikować się z schyzmatykami-Rumunami, nietylko w sprawach religijnych, ale nawet w sprawach familijno-towarzyskich.

Jak więc między katolikami niemieckiemi a schyzmatykami w całej Bukowinie, tak i między katolikami polskimi południowej jej części a między tamtejszymi schyzmatykami rumuńskimi istnieje zupełny separatyzm religijny i familijno-towarzyski, a to taki, jaki między chrześcijanami i żydami w ogóle istnieje. I separatyzm ten nikomu nie jest dziwnym, ani też nie wpływa szkodliwie na ich obopólną zresztą konieczną i serdeczną styczność sąsiedzką. W sprawach ziemskich, codziennych interesów i potrzeb schodzą się katolicy i schyzmatycy razem, radzą, handlują i pomagają sobie wzajemnie całem sercem i życzliwością — w sprawach zaś religijnych, czy to ogólno-kościelnych, czy familijnych, bez dziwowania się wzajemnego lub brania sobie tego za złe: schyzmatycy łączą się tylko ze sobą, a katolicy znów tylko ze sobą. Tam na chrzcinach n. p. nie widać mięszanych kumów (ani u schyzmatyków katolika, ani u katolików schyzmatyka); tak samo na weselach nie ma mięszanych matek lub batków, nawet gości mięszanych nie ujrzysz, ani na weselach, ani na pogrzebach, ani na tańcach niedzielnych, a popa schyzmatyckiego zaprosić do funkcji pogrzebowej zmarłego katolika — to nikomu z katolików południowej Bukowiny ani przez myśl nie przejdzie. Prawda, że nie ma reguły bez wyjątku, bo zgorszenia być muszą — ale wyjątki te bardzo rzadkie, giną zupełnie w obec ogólnego trybu, wedle którego w południowej Bukowinie przy religijnych i familijnych uroczystościach, katolicy tylko z katolikami, a schyzmatycy z schyzmatykami się stykają. Z tej przyczyny wystarczają też sobie zupełnie i nie czują potrzeby robienia między sobą ściślejszych znajomości, a tem mniej wchodzenia w związki rodzinne przez zawieranie mięszanych małżeństw, przez co upada też powód do apostazji, a tem samem i do wynarodowienia.

Do tego separatyzmu religijnego i familijnego, powodowanego różnicą charakteru szczepowego, dołącza się jeszcze i ta okoliczność że tam dla katolików nie ma kwestji językowej w szkołach, bo językiem katolickim jest tam język niemiecki, a ten bywa z urzędu wykładany dla katolików, tak jak język rumuński dla schyzmatyków. Katolickie dzieci polskie, chociaż uczą się języka niemieckiego, to zawsze katolickiego a nie schyzmatyckiego, i uczą się go — a przeto pobierają też i w tym języku skuteczniej naukę zasad religijnych od swoich katechetów — skuteczniej, powiadam, bo nietylko żywem słowem objaśnionem mową macierzyńską pacierza, ale także co dla każdej nauki jest ważnym czynnikiem, odczytując i w domu katechizm i biblję; umieją bowiem czytać i rozumieć to, co czytają.

Trzecią zaporą do odstępstwa od religji katolickiej, a tem samem i do wynarodowienia Polaków tamtejszych, jest brak obywatelstwa w południowej Bukowinie. Lud wiejski i miasteczkowy żyje tam wedle poczucia swego sumienia. Jest więc niezawisłym w kierowaniu się swojem religijnem i narodowem poczuciem, którego też nie zatruwa żaden gorszący przykład, płynący z góry... tam bowiem i inteligencja nie fanfaronuje obojętnością i lekceważeniem spraw świętych — poważa i szanuje swój Kościół katolicki i swoich kapłanów, tak, jak i poczucie swoje narodowe, zachowuje przepisy i obrzędy katolickie w czystości i nie plugawi je żadnymi schyzmatyckimi i innonarodowymi zwyczajami.

Taka jest religijno-narodowa sytuacja Polaków w południowej Bukowinie.

Inaczej się rzecz ma w północnej Bukowinie. Tu inny skład społeczny i narodowy, inne też stosunki katolickie Polaków do innowierców i innonarodowców, a nawet inne stosunki między samymi katolickimi Polakami. Tu przeważnie zamieszkuje żywioł słowiański, to jest ruski i polski. Ruski zaś w przeważnej, a polski w mniejszej liczbie. Wedle utartego też i powszechnego sposobu mówienia, katolików nazywają Polakami, a schyzmatyków Rusinami. Różnica ta jednak religijno-narodowa istnieje tylko w teorji, w praktyce bowiem, w poczuciu i w społecznem życiu została ona prawie zupełnie na korzyść rusinizmu schyzmatyckiego zatartą i to brakiem owych dobroczynnych czynników jakie w południowej Bukowinie istnieją, a więc brakiem naturalnej różnicy szczepowej i językowej. Tu, jak powiedziano, jest bowiem jeden szczep tylko słowiański, a różnicą narodową może między nimi tworzyć tylko mowa i stąd płynące poczucie narodowe. Tymczasem mowa odrębna istnieje tylko w kościele i w pacierzu, po za tem katolicy nasi t. j. Polacy, szczególnie z ludu, nie używają nigdy i nigdzie swojej mowy, bo jej nie umieją, używają tylko mowy ruskiej, a więc tu mowy religji schyzmatyckiej. Zatrata zaś mowy pociągnęła za sobą i zatratę poczucia narodowego, co się pokazuje z tego, że tutejszy lud katolicki, a więc rzeczywiście z przodków swoich polski, o tej polskości nie ma żadnej świadomości. I skądżeby jej nabrał? Kościół katolicki jeszcze o tem przypomina używaniem mowy polskiej przy obrzędach i w kazaniach, ale większość obecnych tym św. sprawom, gdzieś tylko piąte przez dziesiąte pojmuje — całości wcale nie, — bo po polsku nie rozumie.

Kościół zresztą uczy wiary i moralności katolickiej, ale nie polskości; tu już pole działania dla innych czynników. Lecz właśnie tych czynników tu nie ma, ale są tylko te, które działają przeciw polskości. Szkoły uczą tylko po rusku, a jeżeli gdzie jeszcze na podstawie aktu erekcyjnego godzinę języka polskiego zatrzymać musiano, to istnieje ona chyba na papierze podziału godzin, bo prawie nigdzie nie ma uzdolnionego nauczyciela dla tego języka, prawie wszędzie nauczyciel Rusin i to schyzmatyk tego języka udzielać by powinien. To też udziela go z musu, skąd pochodzi, że po 6 latach szkolnych, dziecko odczytuje ledwie, jak po grudzie, litery i wyrazy polskie, ale nie rozumie ani tego słowa, ani myśli zdania, które przeczytało. W takim składzie rzeczy tylko domowa nauka może co pomódz, lecz i tej u nas po wsiach i miasteczkach nie ma zgoła, bo w rodzicach już samych nie ma poczucia potrzeby tego. Ztąd płynie jednak i ten smutny skutek, że katecheci katoliccy zmuszeni dzieciom polskim pacierz po polsku wykładać, muszą wprzód przełamywać ich straszne trudności w czystem wymawianiu wyrazów pacierza, potem tłumaczyć im znaczenie i rozumienie tych wyrazów, a nakoniec dopiero, pomału, bo ustnym tylko wykładem, a więc pomimo słuchu zbyt żywych dzieci łatwo ulatującem słowem, uczyć prawd religji, które też nim dzieci na drugą godzinę przyjdą, już im z pamięci ulecieały, bo tej pamięci dla braku nauki języka polskiego nie mogą domowem czytaniem katechizmu i biblji przyjść w pomoc.

Taka tedy mozolna i gołosłowna nauka religji nie wiele się też przyczynia do umocnienia zasad religijnych na przyszłe życie człowieka. Ztąd zapewne wzrasta przyczyna także obojętności religijnej i łatwej apostazji, — ale nie Kościół temu winien — lecz brak nauki języka polskiego, a to tem bardziej, że i w życiu społecznem nie ma żadnego środka podtrzymującego poczucie polskości i katolicyzmu.

Między ludem środka tego szukać niepodobna. Lud żyje troską o chleb powszedni bez wyższej myśli. Wskutek braku rozumienia nauki religji katolickiej zdolnej jedynie jeszcze utrzymać człowieka w jego człowieczej godności i ponieważ katolicyzm właśnie dla osiągnienia tego celu od wyznawcy swojego żąda zaparcia siebie samego w jego pożądliwościach cielesnych, — przeto lud nie przejęty jego uszlachetniającemi zasadami, lgnie tak jak do mowy, a raczej i przez tę mowę, i do zasad moralnych swoich współmieszkańców schyzmatyckich, którym religja ich nie tak znów stanowczo w dogadzaniu ciału przeszkadza. Ztąd też pochodzi, że katolicy północnej Bukowiny tak jak i współmieszkańcy ich schyzmatyccy potrzebę religji o tyle tylko odczuwają, o ile jej potrzebują dla „zwyczaju" chrzcin, wesel, pogrzebów i innych uroczystości dających im okazję i motyw dla rozkosznego zabawienia się, ztąd i katolicyzmu swego o tyle się tylko trzymają, o ile on im do tych przyjemności nie przeszkadza. Lecz skoro tylko trafi się, że przy której z powyższych okazyj, kapłan katolicki musi na podstawie swych religijnych zasad i kanonów — naturalnie różnych od schyzmatyckich — oprzeć się wymaganiom partji, tedy zaraz bez skrupułu i żalu odstępuje od religji i przechodzi na schyzmę, bo tam jej bez przeszkód zadość uczynią, i ochrzczą i ślub dadzą i pochowają i odprawę spełnią, a że o to im tylko idzie, więc tym katolikom wszystko jedno, w której religji to będzie dopełnionem. Ksiądz tu i tam funkcjonuje, chorągwie tu i tam nie różnią się, krzyż tu i tam jest w używaniu, procesje tu i tam odprawiają modły, pokropienia i śpiewy tu i tam się odbywają, kościół z ołtarzami i obrazami tu i tam się znajduje; a więc „wsio odno" (wabiące hasło schyzmatyków), cel pożądany się osiągnie i to w schyzmie o tyle jeszcze milej, że w zrozumiałej ruskiej mowie i w bliższym, bo miejscowym kościele (cerkwi) a do tego z okolicznościami zwyczajem uświęconymi, które ciału tak przyjemnie dogadzają!

Oto konsekwencje i skutki zatracenia mowy polskiej u katolików-Polaków bukowińskich.

Z powyższych przyczyn płynie też i to identyfikowanie się zupełne katolików z schyzmatykami w sferze religijnej i społeczno towarzyskiej. Katolicy bez skrupułu chodzą do cerkwi schyzmatyckich i biorą w nich udział, do chrztu na kumów proszą schyzmatyków, na wesela proszą na matki i bat'ków, na pogrzeby nietylko gości, ale nawet popów schyzmatyckich z funkcjami, tak samo też i sami idą kumować, bat'kować i gościć schyzmatykom w ich obrzędach religijnych, chociaż jeszcze nie słyszano, aby kto ze schyzmatyków zapraszał z funkcją księdza katolickiego do pogrzebu; katolicy zaś to robią. Ztąd też te spokrewnienia i te znajomości, a w skutku i te żeniaczki i te apostazje i te wynarodowienia Polaków, którym oczywiście nie winien Kościół katolicki i jego kapłani, ale tylko zatrata mowy, a z nią zatrata poczucia religijnego i narodowego i identyfikowanie się społeczne, sięgające aż do wdziewania horbotek przez kobiety polskie; jednem słowem zatrata naturalnych i fundamentalnych różnic religijno-narodowych między katolickimi Polakami a schyzmatykami Bukowiny jest też fundamentalną przyczyną apostazji i wynarodowienia żywiołu polskiego.

Tę fundamentalną przyczynę apostazji i wynarodowienia wspiera, propaguje i forsuje także katolicyzmowi (polonizmowi) z zasady wrogi schyzmatyzm, który w całej Bukowinie hegemonję trzyma, a więc łatwo i śmiało do odstępstwa skumanych już, zeswatanych i mową i ubraniem i zwyczajami powiązanych katolików-Polaków rozmaitymi sposobami zachęca, a i w urzędach po temu wsparcie i obronę znajdują. Nie Kościołowi tedy katolickiemu winę wynarodowienia przypisywać, lecz szukać jej raczej tam, zkąd ona istotnie płynie.

A do tej apostazji i wynarodowienia przyczynia się nie mało i nasza miejscowa inteligencja po wsiach i miasteczkach, zajmująca rozmaite od powyższej hegemonji schyzmatyckiej zawisłe stanowiska większych lub mniejszych urzędników i rozmaitych prywatnych funkcjonarjuszy lub przemysłowców. Wielki procent winy stanu religijno-narodowego między ludem naszym katolicko-polskim na inteligencję spada, a to skutkiem właściwej jej obojętności religijnej, która tu właśnie z powodu równoznaczenia Kościoła katolickiego z narodowością polską i z powodu, że właśnie ten Kościół otoczony jest tysiącem wrogich żywiołów, zwraca na siebie uwagę i złym swoim przykładem ogromne spustoszenia na polu religijno-narodowem szerzy. Ona bowiem przodę niejako prawie zupełną pogardą Kościoła i wszelkich praktyk swojej katolickiej religji; ona powagę kapłanów katolickich lekceważeniem podkopuje, ona dla chwilowego interesu schlebiając hegemonom schyzmatyckim do ich cerkwi na nabożeństwa uczęszcza, przy ich obrzędach familijno-religijnych do usług się stawia, popów nawet do spełnienia swoich religijnych potrzeb (święcenia paschy i domów, odprawienia pogrzebów i nabożeństw za umarłych) zaprasza, służbę swoję katolicką (a więc polską) do tego samego zachęca i z nią równie jak i z innymi katolikami z ludu, po rusku rozmawia; nigdy zaś jawnie, ani słowem, ani uczynkiem, w codziennem życiu między swojemi, polskości swojej nie zamanifestują. Tym tedy sposobem dają zgorszenie młodszej i równej sobie braci, zgorszenie powodujące indeferentyzm religijny i narodowo-polski, a ztąd też płynącą apostazję i wynarodowienie. Nie Kościół więc katolicki temu winien — nie!

Równie i dwory obywatelskie w tej połowie Bukowiny liczne, a dzielące się na dwory schyzmatyckie i katolicko-polskie (i ormiańskie) mają w tych apostazjach i wynarodowieniu Polaków tutejszych swoją *partem leoninam*. Pierwsze bowiem podniecają silnie apostazje, a tem samem wynarodowienie polsko-katolickiego żywiołu z zasady swojej hegemonji: **terroryzmem** nie tylko na jednostki, ale i na całe gminy kościelne (parafje) w swoich posiadłościach. Tu wszyscy katolicy (a więc Polacy) dla uniknięcia szykany, a często i najdotkliwszych przykrości ze strony pana obywatela, przeciwko któremu nie ma obrony, muszą zadawać gwałt swoim przekonaniom i katolickim i narodowo-polskim, aby taką podwójną apostazją, a przynajmniej jaskrawą obojętnością dla tych świętości zjednać sobie przychylność dziedzica i okupywać zapewnienie egzystencji. Drugie zaś, to jest dwory katolickie, wspierają apostazję i wynarodowienie swoją podniosłością i wysokością swojego stanowiska. Wedle ich wyobrażenia bowiem nie odpowiada to obywatelskiemu ich stanowisku interesować się takiemi błahostkami jak religja lub narodowość. — W obec ludzi niżej ich sfery stojących są więc obojętnymi, bo to za niskie progi na ich wysokie nogi. Oni potrzebują ludzi i obojętna im jest, czy to Rusin-schyzmatyk, czy katolik-Polak lub żyd, jak im potrzebny, to każdego zapotrzebują, a jak im nie potrzebny, to niech sobie będzie czem chce i jakim chce, to katolicko-polskiego obywatela nic nie obchodzi. W obec obywateli równych sobie są znów obojętnymi na religję i narodowości w ogóle, bo przecież obywatele muszą się razem trzymać i dla miłej solidarności obywatelskiej nie wypada przez manifestowanie katolicyzmu lub polonizmu obrażać niechętnie na to patrzących kolegów i ściągać dla takich błahostek na siebie ich niemiłej uwagi. Katolicyzm i polonizm nie należy więc do ich publicznych objawów — to rzecz prywatna — u siebie, dla siebie i w obec swoich (obywateli) wedle potrzeby i zwyczaju są przecież i katolikami i Polakami, ale w obec bukowińskiego i miejscowego ogółu muszą być tylko obywatelami, tem bardziej, że z polityki wypływa: trzymać wszędzie z większością i kierunkiem wiatru, jaki z góry wieje. — Z tych zasad zaś pp. obywateli tutejszych katolicko-polskich płyną właśnie konsekwencje ważące ciężko na szali niniejszego tematu, okazują się one bowiem, jak i u naszej inteligencji w jaskrawym indeferentyzmie religijnym i narodowym, który jeszcze większem zgorszeniem podkopuje stałość zasad obojga świętości, a podnieca swobodę apostazji i wynarodowienia we wszystkich warstwach naszego katolicko-polskiego żywiołu, bez sromu, bez wstydu i bez żenady.

Z tego cośmy dotąd powiedzieli wypływa jasno, że nie Kościół katolicki winien istotnie licznym apostazjom i stąd płynącemu wynarodowieniu się katolików - Polaków bukowińskich, ale winne:

1) brak nauki języka polskiego po szkołach;

2) stąd płynące zatracenie mowy polskiej w domowem i społecznem życiu;

3) stąd znów płynące zatracenie poczucia religijno-narodowego;

4) z zatracenia zaś tych fundamentalnych, zewnętrznych różnic religijno narodowych wynikające idendyfikowanie się Polaków-katolików z żywiołem nie-katolickim i nie-polskim w potrzebach religijno-towarzyskich;

5) podpieranie tych smutnych objawów i obojętnością religijną i narodową polskiej inteligencji, terroryzmem hegemonów, wrogich katolicyzmowi i polskości, i nieinteresowaniem się sprawami religijno - narodowymi ze strony katolicko-polskich obywateli tutejszych.

A w obec tych destrukcyjnych czynników religijno-narodowych tylko Kościół katolicki, jako jest warownią dla wszystkich narodowości na całym świecie, tak i tu sam jeden broni polskiej narodowości, nie z zasady narodowościowej wprawdzie, ale ze swojego charakteru katolickiego, ujawniającego swoję dobroczynność tem właśnie, że jak długo naród jaki trzyma się katolicyzmu szczerze i skrupulatnie przepisy jego zachowuje, nie wynaradowią go najzuchwalsze zapędy wynarodowiające. On jeszcze sam jeden tylko pielęgnuje mowę polską w obrzędach i naukach swoich, on tylko sam jeden publicznie przemawia po polsku do wyznawców swoich bukowińskich, on tylko i w szkole jeszcze sam jeden polskim wykładem religji dzieciom polskim na pamięć nawołuje ich narodowe pochodzenie; on tylko nawołuje wyznawców swoich do zachowania zwyczajów i obyczajów katolickich, przedstawiając im wzniosłe przykłady pobożności ojców naszych; on zachowuje w metrykalnych zapisach czystość przekręcanych już nazwisk familijnych tutejszych Polaków; on osłabia skutki zgorszenia inteligencji i przeciwdziała terroryzmowi wrogich hegemonów, podnosząc ducha uciśnionych katolików ku stałemu wytrwaniu w swojej religijnej prawowierności; on łagodzi skutki obojętności religijno-narodowej ze strony polskich obywateli — własną troską swojego macierzyńskiego powołania. Tylko Kościół katolicki jeszcze rozbija to zgubne dla narodowości polskiej solidaryzowanie i identyfikowanie się tutejszych katolików z schyzmatykami; głośno i stanowczo wołając, że oni niejedno z nami i że nie wolno nam się z niemi ani kumać, ani swatać, ani spokrewniać, ani w nabożeństwach cerkiewnych, ani w obrzędach religijno-familijnych i towarzyskich z nimi łączyć, i zakazami tymi dobroczynnymi zamknąć usiłuje wrota do apostazji i do wynarodowienia. A jeżeli zła wola jakiego zgangrenowanego już indywiduum gwałtem wyłamuje się z uświęconych dobroczynnych karbów Kościoła i koniecznie otwiera wstęp wrogim wpływom, to i tam jeszcze Kościół katolicki szuka sposobów, aby tych wpływów wrogich nie dopuścić i przy stracie cząstki przecież całość dla katolicyzmu i narodowości uratować.

I to się dzieje właśnie w najzgubniejszych dla katolicyzmu i polskości mięszanych małżeństwach; małżeństwo bowiem, to nie jednostka, lecz cała rodzina; małżeństwo, to nie teraźniejszość, ani wesele lub smutek dwóch osób tylko, ale to pomyślność lub smutek całego przyszłego potomstwa. Tu przeto Kościół usiłuje ratować całą rodzinę i całe przyszłe pokolenie z takich mięszanych małżeństw, aby ono dla religji, a więc i dla narodowości nie zginęło. Ku temu celowi chwyta więc wszelkie legalne i moralne środki.

Takim środkiem były dawniej **rewersa**, którymi Kościół bezpośrednio żądał wprost od partji nie-katolickiej, zamierzającej zawrzeć małżeństwo z partją katolicką, zabezpieczenia katolickiego wyznania dzieci z mięszanego małżeństwa powstać mających. Dziś zaś austrjackie prawo małżeńskie zniosło rewersa między Kościołem katolickim a nowożeńcem nie-katolickim zawierane, i ustawą międzywyznaniową z dnia 25 maja 1868 (k. u. p. nr. 49) decyzję nad przyszłym wyznaniem dzieci z mięszanego małżeństwa oddało dobrowolnej **obopólnej umowie nowożeńców samych między sobą**, przed lub po ślubie dokonać się mogącej. Tak więc dziś pozostanie partji katolicko - polskiej i potomstwa jej przy katolicyzmie, a więc i przy swojej narodowości polskiej, lub... apostazja leży już nie w rękach Kościoła, jakto przy rewersach bywało, ale w rękach samejże katolicko-polskiej partji, która zamierza zawrzeć małżeństwo z schyzmatykiem.

Jeżeli więc partja katolicko-polska ma choć iskierkę poczucia swojej religijno - narodowej godności, to albo nie przychyli się do mięszanego małżeństwa z schyzmatykiem i inno-narodowcem, albo zawrze z nim wspomniany kontrakt ku prawnemu zarezerwowaniu siebie i owoców swojej katolicko-polskiej krwi dla katolicyzmu, a więc dla swojej narodowości. **A więc od Polaków samych zależy, czy chcą z dziećmi swymi zostać Polakami, czy chcą się wynarodowić przez mięszane małżeństwa.**

I cóż się dzieje? Oto *Gazeta Polska* czerniowiecka głosi, że się żywioł polski wynaradawia i to właśnie z okazji zawierania mięszanych małżeństw z schyzmatykami przez odstępstwo od wiary katolickiej a przejście na grecko-orjentalną schyzmę.

I to wielka smutna prawda, lecz smutniejsza jeszcze ta, że *Gazeta Polska* winę tego wynarodowienia złożyła na Kościół katolicki i to **za to, że żąda dziś od katolicko-polskiej partji, aby ze swoim schyzmatyckim i innonarodowczym narzeczonym zawarła ów prawny kontrakt, który by i ją samą i przyszłą jej rodzinę z tego zamierzonego małżeństwa zarezerwował katolicyzmowi, a więc i polskości.**

Czyż takie żądanie ma się nazywać powodowaniem wynarodowienia?! Więc chyba wypadałoby życzyć sobie, aby i Kościół katolicki, ta święta matka wszystkich narodów, wspólnie z lekkomyślnemi matkami i ojcami bukowińskich Polaków, obojętnie patrzył i zezwalał na wynarodowienie całych rodzin polskich w mięszanych małżeństwach, bez żadnej przeszkody, bez upomnienia? O zaprawdę, byłaby to wielka przysługa — lecz nie dla narodu polskiego! — i gdyby Kościół katolicki był tak postępował, to jużby *Gaz. Polska* nie miała na Bukowinie dla kogo po polsku pisać, a jeżeli ona i żywioł polski tu jeszcze egzystuje, to tylko dzięki Kościołowi katolickiemu. Kościołowi katolickiemu, powtarzam, bo jakośmy widzieli, że zresztą nikt, ani stosunki socjalne i towarzyskie, ani stosunki prawne, ani intelligencja, ani obywatelstwo wynarodowieniu Polaków na Bukowinie nie przeszkadzają — lecz tylko nasz św. katolicki Kościół. On jeden tylko broni i podtrzymuje — jak w całym świecie wszystkie — tak i tu naszę narodowość, a broni ją przed zagładą swoimi jedynie zbawiennymi przepisami, jak n. p. kiedy surowo zakazuje małżeństw mięszanych. Nieposłusznym zaś i lekkomyślnym swoim wyznawcom przypomina ich narodowy obowiązek żądaniem przedstawienia przynajmniej przedślubnego kontraktu, gwarantującego niewynarodowienie owoców krwi polskiej, i żąda tego pod grozą odmówienia błogosławieństwa sakramentalnego na ich trudny żywot małżeński i pod grozą niegłoszenia zapowiedzi, jeżeli temu obowiązkowi religijno-narodowemu nie odpowiedzą. Kto tedy ma jeszcze poczucie tych świętych obowiązków, ten z pewnością nie wejdzie w mięszane małżeństwo, lub wyrówna różnicę wyznania przeciągnięciem innowiercy do swojej religji, lub zawrze z nim powyższą umowę, albo odstąpi od mięszanego małżeństwa, jeżeli partja niekatolicka nie chce na to przystać. **Kto zaś z katolików bez wszelkich warunków w mięszane małżeństwo wchodzi i krew swoję za misę soczewicy lub dla funta mięsa zaprzedaje, w tym już ani iskierki poczucia świętości narodowych nie ma**, co tem ujawnia, że chociaż go katolicki Kościół z grona swego nie wyrzuca, to on już sam czuje, że do tej świętej owczarni nie pasuje i dobrowolnie zrzuca niegodnie noszoną skórę owieczki katolickiej, a będąc już zaprzańcem narodowym, staje się i apostatą religijnym.

Katolik Polak (bo schyzmatyka Polaka jeszcze nie widziałem) Kościół swój jako najlepszą warownię swojej narodowości nietylko sam szanuje i zwierzchników jego tj. kapłanów czci i słucha, a przepisy i rozporządzenia ich ze stanowczością przyjmuje, ale takowe i do innych duchem słabszych braci swoich roznosi i do wiernego zachowania ich zachęca. Katolik Polak szczery stara się nietylko sam odznaki zewnętrzne swoich religijno narodowych świętości (obrzędów, nabożeństw, mowy, zwyczajów, uroczystości i familijnych i towarzyskich) przestrzegać, wrogich czynników niemi nie przyodziewać, ani wrogiemi czynnikami ich nie profanować, ale i brać swoję duchem słabszą w tem utwierdzać i przestrzegać, aby się z wrogim żywiołem w niczem nie identyfikowała. Katolik Polak szczery w tym kierunku będzie kapłanów swoich wszelkiemi sposobami wspierał, a nawet wedle możności i ofiary materjalnej, choćby z zaparciem swoich osobistych uprzedzeń, nie będzie żałował, byleby tylko brakom powodującym upadek religji i narodowości zaradzić.

A więc *do pracy przeciw wynarodowieniu Polaków bukowińskich!* Wszyscy komu ta święta sprawa na sercu jeszcze leży *podnieśmy od dzisiaj następujące hasła i trzymajmy się ich szczerze:* Po polsku w domach naszych ze wszystkimi mówmy, — naukę języka polskiego dla dzieci naszych we wszystkich szkołach ludowych wywalczajmy solidarnie, — a tam, gdzie to trudno z urzędu przeprowadzić, zaradźmy utworzeniem specjalnego funduszu składkami i legatami, aby z niego można opłacać prywatnego nauczyciela dla tego ję-

zyka — Kościół katolicki szanujmy i poważajmy, pracę kapłanów około podniesienia ludu naszego wspierajmy, — przepisy kościoła naszego i praktyki religijne zachowywajmy,— do kościołów, ale *tylko* katolickich i to *koniecznie w swojej parafji* na nabożeństwa we święta i uroczystości pilnie uczęszczajmy, choćby tego wszystkiego nawet z ofiarą jakich osobistych i prywatnych przykrości dopełnić nam przyszło; złóżmy tę ofiarę dla wyższej sprawy, aby tylko tym sposobem *dać dobry przykład i zachętę* do podobnego postępowania niższej naszej braci.

Do cerkwi schyzmatyckich już nie chodźmy, w obrzędach schyzmatyckich, ani w chrztach przez kumowanie, ani na weselach przez matkowanie, bat'kowanie i drużbowanie, ani w pogrzebach przez asystowanie udziału nie bierzmy, — ani też schyzmatyków na kumów, matki, bat'ków i drużbów, lub popów do pogrzebów w naszych potrzebach religijnych już nigdy nie zapraszajmy — i w tym kierunku na katolicką służbę naszą i na ludność polską po wsiach i miasteczkach z całą stanowczością wpływajmy, i to tak dalece, aby jeżeliby kiedy było trudno swego księdza sprowadzić, raczej Polacy sami z katolicką polską modlitwą zmarłego katolika Polaka do grobu niech zaniosą, niżeliby mieli ostatni akt jego katolickiego życia schyzmatyckim obrzędem sprofanować.

Święcenia świec, wody, domów i paschy nigdy już u popów nie pożądajmy, lecz postarajmy się o takowe u naszych kapłanów, a w braku księdza do poświęcenia paschy dopełnijmy go raczej przy modlitwie katolickiej sami kropiąc dary wodą przez księży naszych poświęconą. — Przy okazjach pamiątek narodowych starajmy się każdy w obrębie swojej działalności i w ludu świadomość przynależności narodowej budzić i podtrzymywać — apostatów katolicyzmu jako zdrajców narodowości naszej nie uniewinniajmy, ale usiłujmy ich do powrotu nakłonić — a szczerych katolików względami wynagradzajmy i przeciw zamierzonej krzywdzie katolikowi przez innowierców solidarnie ze słuszną obroną pospieszmy — w zabawach i uroczystościach familijnych i towarzyskich solidaryzujmy się tylko ze swymi, a najbardziej nie dopuszczajmy znajomości mięszanej młodzieży mogącej do mięszanego małżeństwa doprowadzić; gdyby zaś takie zawikłania już nastąpiły, to starajmy się wyrównać różnicę wyznania schyzmatyckiego na korzyść partji katolickiej. Pamiętajmy bowiem, że kiedy tak czyniły Wandy, Dąbrówki i Jadwigi nasze, to wtedy Polska i żyła i wzmagała się.

Nie luteranizm, ani żadne herezje inne lub odszczepieństwa są wrogiem Polski, lecz tylko, jedynie i wyłącznie gr. orj. schyzma. Schyzma nam grób wykopała, schyzma nas do grobu złożyła i schyzma i dziś zmartwychwstaniu Polski wszędzie i ciągle przeszkadza. Żaden apostata katolicki na korzyść jakiejkolwiek herezji nie jest nam tak szkodliwym i nie staje się nam tak zaciekle wrogim, jak apostata katolik Polak do gr. orjentalnej szyzmy odpadły. Kto się więc ze schyzmą brata w ogóle, a w małżeńskich z nią z umysłu nawet kontraktu pranego na korzyść swojej katolicko polskiej krwi nie zawiera, ten jest zdrajcą podwójnym, z tym też pod pręgierz świata go posłańmy. A kiedy tak w wierności Kościołowi katolickiemu postępować będziemy, wtedy i apostazji i wynarodowienia nie będzie.

Napisałem w Bukowinie w dzień św. Tomasza apostoła 1888 r.

Kronika.

Lwów, dnia 20 lutego.

Dar. Cesarz udzielił z prywatnej swej szkatuły gminie Malinówka w powiecie brzozowskim na budowę szkoły zapomogę w kwocie 100 złr.

Mianowania. Rada szkolna krajowa zamianowała Adolfa Lewandowskiego, rzeczywistym nauczycielem szkoły etatowej w Krzyworównii; rzeczywistym nauczycielem w Glinnie, Stanisława Wulfać, rzeczywistym nauczycielem szkoły etatowej w Nawarji.

Wieczystą Mszę św. za duszę ś. p. cesarzewicza Rudolfa urządzili członkowie rodziny cesarskiej w kościele św. Józefa, która odczytane będzie co sobotę o godzinie 11 z rana przed wielkim ołtarzem a w dnie świąteczne przed jednym z bocznych, odprawiać się będzie.

Na trumnę ś. p. Cesarzewicza Rudolfa złożono 865 wieńców w wartości około 100.000 zł. Archiwum zachował wieniec ofiarowany przez dzienników paryskich, za który zapłacono 1000 franków. Po nim idzie wieniec od królowej angielskiej Wiktorji, zrobiony we Wiedniu, za cenę 400 zł.

Na wyraźne życzenie Naj. Pana przysyłane wstęgi złożonych na trumnie wieńców przechowują się w domowem archiwum Habsburgów.

Rada miejska odbędzie we czwartek dnia 21 lutego o godz. 6 wieczorem w sali ratuszowej posiedzenie swoje.

Na porządek dzienny rozpraw przyjdą między innemi sprawy oddania w przedsiębiorstwo robót kominiarskich w realnościach miejskich. Sprawa nadania stypendjów z fundacji miejskiej dla sierót chłopców i dziewcząt. Zamknięcie rachunków gminnego podatku czynszowego za r. 1887. Sprawa recemnowania miejskim zakładzie i wiele innych pomniejszych.

Ukonstytuowanie się rady miejskiej miasta Stryja, w którem przez lat trzy rządy sprawował komisarz rządowy p. Michel, nastąpiło w tych dniach.

Burmistrzem wybrany został dr. Filip Fruchtmann, poseł do Sejmu, zastępcą zaś p. Aleksander Stojałowski, pensjonowany urzędnik.

Ruch pociągów na linji Jasło Nowy Zagórz został wstrzymany z powodu zamieci śnieżnej dnia 19 b. m.

Śluby. Zaślubiny hrabianki Jadwigi Dzieduszyckiej z księciem Witoldem Czartoryskim odbędą się jutro 21 b. m. o godz. 3 po południu w kościele OO. Dominikanów.

W Nowosiółkach w pow. włodzimierskim w gub. wołyńskiej odbył się dnia 12 b. m. ślub p. Feliksa Podlewskiego z panną Marją Ronikier, córką ś. p. Michała z Kazimiery z Bogatar Podhorodeńskich hrabiów Ronikierów. W uroczystości weselnej wzięli udział pp. Podlewscy z Galicji, Mieczejewscy z Litwy, Chamiec z Polesia, hr. Mijakowscy z Wołynia i wielu innych.

„Błogosławienie Kosynierów", obraz Piotra Stachiewicza, który na wystawie krakowskiej w Sukiennicach tak wielkie budził zainteresowanie się, został nabyty do zbiorów.

P. Jacek Malczewski, znany nasz artysta-malarz, otrzymał od redakcji *Illustrirte Zeitung* wychodzącej w Lipsku, prośbę o pozwolenie reprodukowania cyklu obrazów jego na temat prześladowań naszych w Syberji.

W Czytelni kobiet odbędzie się w piątek 22 b. m. odczyt, na którym p. Zofja Rudnicka odczyta ostatnią swoją pracę, nagrodzoną na konkursie ludowem p. t. „Marysia Stecka".

Koncert Joachima na dzisiaj zapowiedziany, został odwołany.

Walne zgromadzenie Tow. ochot. straży ogniowej „Sokół" odbędzie się w niedzielę 24 lutego 1889 o godz. 3 po południu w kancelarji Towarzystwa, Rynek l. 17 we Lwowie. Na porządku dziennym: 1. Odczytanie i potwierdzenie protokołu walnego zgromadzenia z d. 11 marca 1888. 2. Zatwierdzenie rachunków za 1888 r. 3. Uzupełniający wybór 3 członków wydziału. 4. Wybór sądu polubownego i komisji rewizyjnej. 5. Wnioski członków.

Pomnik dla Przewalskiego, do którego projekt wykonał przyjaciel zmarłego Bilderling i który stanąć ma na grobie jenerała, wyobrażać będzie olbrzymią skałę, złożoną z kolosalnych brył kamienia; na jej szczycie wznosić się będzie orzeł z bronzu, trzymający w pazurach bronzową płytę przedstawiającą kartę Azji, a w dzióbie gałązkę oliwną. Na frontowej stronie pomnika stanie krzyż bronzowy z napisem daty urodzenia i śmierci, jako też nazwisko Przewalskiego. U stóp skały wyżłobione będą schodki kręcone, a na ostatnim stopniu pomieszczony bronzowy medal, który na cześć znakomitego podróżnika w roku 1887 Akademja umiejętności wybiła z wizerunkiem zmarłego (tylko w powiększonych rozmiarach) Medaljon ma w około napis: „Pierwszemu badaczowi przyrody w Azji środkowej".

Zmarli. W Brzezinkach pod Tarnowem, zmarł Adolf z Zakliczyna Jordan po długiej i ciężkiej chorobie w 61 roku życia. Zmarły był synem Franciszka Jordana a odziedziczywszy po ojcu kilka pięknych włości w okolicy naddunajskiej, gdzie ród Jordanów od XIV i XV wieku osiadły był i szerokie dzierżył posiadłości — skrzętną pracą utrzymał i pomnożył otrzymane mienie. Ożeniony był z Zofją Kochanowską i pozostawił trzech synów i dwie córki. Zwłoki przewiezione zostaną do Wojnicza i tam w grobach rodzinnych złożone.

Feliks Lekczyński, djetarjusz przy Wydziale krajowym, zmarł we Lwowie przeżywszy lat 65.

O prześladowaniu pruskiem. Z Kamionka (w W. Ks. Poznańskiem) otrzymała redakcja tygodnika *Nadgoplanin* następujący list:

Szanowną Redakcją *Nadgoplanina* proszę o umieszczenie następujących paru słów w łamach swego pisma:

Ostrzegam wszystkich Braci Wiarusów, aby przy kontrakcje kupna jakiejś własności dali baczność na to, czy ich nazwiska polskie nie będą niemczone lub przekręcane. O tem miałem sam sposobność się przekonać. Nazywam się wyraźnie S z t u b a, a przy kupnie w sądzie pisali mnie po niemiecku S t u b e. Mając termin w landraturze, podpisałem pod protokół nazwisko moje tak, jak metryka wykazuje, to jest wyraźnie Sztuba. Lecz nie trwało wcale długo, gdy dostaję od prokuratora nakaz karny zapłacenia 150 marek za przekręcenie nazwiska, chociaż jestem czwarty w rzędzie Sztuba po Sztubie i jest nas bardzo wielu Sztubów aż z 5 pokolenia i z metryk wszyscy się Sztubami zowią, a ja sam zostałem teraz na Stube przechrzczony. Rzecz tę oddałem do sądu. Kochani Bracia i Czytelnicy *Nadgoplanina*, proszę was mile, doradźcie mi, co czynić mam; może który z was więcej doświadczenia w takich rzeczach posiada, jak ja

Jakób Sztuba,
gospodarz z Kamionka.

Rozstrzygnięcie ławy przysięgłych. Z Kamieńca Podolskiego donoszą nam o ciekawym fakcie. Przed ławą przysięgłych postawiono 12 chłopów i 1 komisarza policji oskarżonych o zabójstwo dokonane na pewnym żydzie koniokradzie, którego złowiono wreszcie na gorącym uczynku. Rzecz się miała następująco: W całej okolicy ginęły nieustannie konie, w końcu zaczęto się domyślać, że kradną je żydzi i uprowadzają przez granicę do Galicji, gdzie na jarmarkach i targach sprzedają. Z biegiem czasu mnożyły się coraz bardziej poszlaki i wskazywały, że tym koniokradem jest głównie pewien karczmarz, Aron Goldfuss, którego częste nocne wycieczki zaczęły budzić podejrzenie. Chłopi z owym komisarzem policyjnym zaczęli go szpiegować i wreszcie pewnej nocy we wrześniu zeszłego roku pochwycili go w lesie, kiedy właśnie z dwoma innymi żydami prowadził ku granicy skradzione przed paru dniami u włościan okolicznych cztery tęgie konie. Chłopi rzucili się na żydów, ale tak niestrategicznie, że dwóch z nich uciekło, porzuciwszy konie, a tylko Aron Goldfuss dostał się w ich ręce. Przywiązali go tedy do drzewa i dopóty bili drągami, aż ducha wyzionął. Scenie tej przypatrywał się komisarz policji i wcale nie oponował temu wykonaniu doraźnego sądu. Owóż za ten czyn postawiono owych 12 chłopów przed ławą przysięgłych, a także i owego komisarza policji, jako współwinnego w zbrodni zabójstwa, z tego mianowicie względu, że nie zapobiegł zamordowaniu Arona. Chłopi przyznali się do winy i szczegółowo cały fakt opowiedzieli. Dodali przytem, że dla tego zamordowali żyda, a nie oddali go skrępowanego w ręce władzy, iż przewidywali, że gdy to ostatnie zrobią, to żyd, który zrobił już gruby majątek na koniokradztwie, wykupi się w policji i będzie dalej broił.

Ława przysięgłych jednogłośnie uznała chłopów niewinnymi, a także i komisarza policji, poczem Trybunał uwolnił wszystkich od oskarżenia, a prokurator nie założył rekursu.

Fakt ten tembardziej wart jest zaznaczenia, że kahał żydowski w Kamieńcu ofiarował 10.000 rubli za zasądzenie owych chłopów i czynił dwukrotnie usiłowanie w celu przekupienia sędziów przysięgłych, tak że z tego powodu będą nowe dwie sprawy karne i kilku żydów zasiądzie na ławie oskarżonych.

Polski Manchester. Łódź przed 40 laty mała, nieznacznego rozgłosu jeszcze używająca, a dziś wielkiej doniosłości osada fabryczna, koncentrująca w sobie głównie produkcję towarów łokciowych, wzrosła do tak olbrzymich rozmiarów, że obznajmienie naszych czytelników z obecnym stanem przemysłu tego miasta, uważamy za właściwe i pożyteczne.

W tej wielkiej, a niestety wyłącznie prawie niemieckiej osadzie, tętni silnem życiem 373 różnych zakładów fabrycznych.

Podobną cyfrą bardzo mała liczba fabrycznych i przemysłowych miejscowości europejskich poszczycić się może.

Dlatego też zakłady przemysłu fabrycznego Łodzi zasługują na bardziej szczegółowe ich wymienienie.

W największej ilości funkcjonują tam fabryki tkackie bawełniane, których jest 64 i takież fabryki wełniane w ilości 61.

Dalej następują: 38 fabryk sukna i kortów, 25 przędzalni wełny, 13 fabryk apretury, 13 fabryk wyrobów bawełnianych, 11 przędzalni wełny, 11 przędzalni odpadków bawełnianych, 11 farbiarni, 8 drukarni towarów tkackich, 7 fabryk tasiemek, 6 fabryk bielizny stołowej, 6 fabryk przetworów chemicznych, 6 fabryk kamlotu, 6 fabryk wyrobów miedzianych, 5 fabryk dywanów, 5 fabryk kołder, 5 fabryk materjałów na suknie, 5 odlewni metalowych, 5 fabryk mydła i świec, 4 fabryki materji jedwabnych, 4 fabryki juty, 4 fabryki szczotek, 4 fabryki wyrobów trykotowych, 4 fabryki wag, 4 fabryki maszyn. Są też 3 fabryki bukskinu, 3 fabryki perkalu, 3 fabryki pluszu, 3 fabryki wyrobów wełnianych fantazyjnych, 2 fabryki korków, 2 fabryki materji meblowych, 2 fabryki pończoch bawełnianych, 2 fabryki powozów, 2 wyrobów powroźniczych, 2 waty hygroskopijnej, 2 2 krochmalu i 2 przyrządów optycznych, 1 fabryka wyrobów galanteryjnych, 1 guzików rogowych, 1 fabryka kamieni młyńskich, 1 kamgarnu, 1 fabryka posadzek. Nie należy też przepomnieć, iż ma Łódź 1 fabrykę rękawiczek wełnianych, 1 atramentu, 1 obić papierowych, 1 octu, wreszcie 1 fabrykę wyrobów wełnianych systemu dr. Jaegera.

Przytem Łódź posiada 4 księgarnie, 10 drukarni i litografij, 5 biur technicznych, 1 kantor anonsów i ogłoszeń, 1 biuro informacyjne i inkasowe, 5 składów drzewa budulcowego, 3 składy instrumentów chirurgicznych, 4 składy asfaltu i tektury smołowcowej, 15 składów farb, 9 składów towarów galanteryjnych, 23 handle towarów kolonialnych, 9 składów mebli, 7 składów okowity i spirytusu, 6 składów szkła i porcelany, 7 składów materjałów piśmiennych, 7 składów skór, 5 składów cygar i tytoniów, 9 składów węgli, 5 składów win i 13 składów wyrobów żelaznych, oprócz wielu innych składów i drobniejszych handli, których wymieniać nie będziemy i odpowiedniej ilości rzemieślników.

Bylibyśmy zapomnieli jeszcze o 2 browarach parowych wyrabiających piwo bawarskie i o cyfrze 94 rozmaitych ajentów, komisjonerów i ekspedytorów handlowych.

Wszystko to razem wzięte, daje wyobrażenie o arcy pokaźnej całości...

Zola o Boulangerze. Paryski korespondent jednego z pism rosyjskich miał ciekawą rozmowę z Zolą o obecnych stosunkach Francji, a przeważnie o powodzeniu jen. Boulangera.

— Zapowiadałem jego tryumf — miał się odezwać autor „Germinala" — jeszcze przed laty ośmiu, to jest w chwili, gdy zdawało się, że jenerał stracił cały swój urok. Nie chciano go brać na serjo, bo przeszłość jego nie jest sympatyczna, bo ma zbyt małe czoło, bo, wreszcie, nie jest orłem. Czyż Napoleon III był wielkim człowiekiem? A Gambetta? Był z niego przedewszystkiem doskonały towarzysz, kazał się kochać do szaleństwa swemu otoczeniu, jako człowiek prawy i szlachetny. Prawda — posiadał wielki talent. No... ale Boulanger ma za sobą ideę.

— Jaką ideę? — zapytał interlokutor p. Zoli.

— Ideę monarchiczną. Niech sobie tam mówią, co chcą, o naszych uczuciach demokratycznych. Jesteśmy monarchistami do szpiku kości. Nie możemy żyć, jeśli nie mamy władzcy, któregobyśmy ubóstwiali. Potrzebujemy blasku, przepychu, mundurów szamerowanych złotem, czerwonych wstążeczek, świetnej eskorty; potrzeba nam człowieka, którego w przejażdżce moglibyśmy witać, powiewając w górę kapeluszami. Boulanger odpowiada tej potrzebie naszego serca, a oprócz tego ma za sobą i coś więcej jeszcze: błędy swoich poprzedników, błędy popełniane przez lat ośmnaście.

Nie wiem czy Boulanger dójdzie do władzy, lecz gdyby nawet ją osiągnął, nie sądzę, aby rzeczy mogły iść gorzej, niż idą teraz.

Eksplozja w hotelu. Z Nowego Jorku donoszą, że w Hartford w Park-central-hotel eksplodowały 28 bm. pomieszczone w suterenach hotelu kotły parowe. Większa część olbrzymiego pięciopiętrowego hotelu została zniszczoną, przyczem powstał także i pożar. — Liczba ofiar w gruzach pogrzebanych ma być bardzo znaczna.

Rada wujaszka siostrzeńcowi.

— Strzeż się: jegomościów, którzy opowiadają dziesięć razy jedną historję; panien śpiewających arje, w których jest mowa o księżycu; kapelmistrzów grających Wagnera; wściekłych psów i... siostrzeńców, którzy będą dybali na twój spadek...

Do skąpego i bogatego Z. przychodzi w porze obiadowej jego znajomy, biedny jak ś. p. Hiob.

— Lubisz gęś? pyta Z.

Znajomy łyka ślinkę.

— Bardzo...

— To radzę ci, każ ją zawsze nadziewać jabłkami...

W sądzie.

— Oskarżony, jaki twój stan?

— Rozpaczliwy.

Mały Józio opowiada matce, że się mocno uderzył o stół, ale nic złego sobie nie zrobił.

— I nie płakałeś?

— Nie mamuniu... bo nikogo nie było...

Teatr. Dziś „Korneljusz Voss" komedja w 4 aktach Schönthana.

Jutro „Don Cezar" operetka w 3 aktach R. Dellingera.

Literatura i Sztuka.

* **Opera.** Po raz trzeci z rzędu zapełnił się wczoraj teatr po brzegi na występie śpiewaczki wiedeńskiej p. Róży Papier, której rozmiłowana w muzyce publiczność lwowska złożyła temsamem jednomyślny wyraz uznania jej pierwszorzędnego talentu. Jej Azucena w Trubadurze stanęła na scenie jako postać potężna i pod każdym względem skończona. Mimo, że cyganka z „Trubadura" jest aż do zbytku popularną, przecież panią Papier słuchano wczoraj pod pewnem wrażeniem imponującej siły i patrzano na nią jakby na otoczoną jakimś urokiem nowości. Bo też rzeczywiście artystka śpiewa z tak głębokiem przejęciem się, z takiem wylaniem namiętności, a gra tak wzorowo, że wszystkie Azuceny jakie były na tutejszej scenie zbladły i rozwiały się w wspomnieniu widza i słuchacza, który wczoraj zapamiętale bił brawa artystce wiedeńskiej opery, tak po scenie z Manrikiem z niezmiernie namiętnem uczuciem oddanej, jak po scenie w więzieniu, pełnej lirycznego smętu i tragicznej grozy.

Otoczenie pani Papier starało się dostroić do poziomu na którym stanęła, ale usiłowania te były po większej części daremne, tak, iż wykonanie „Trubadura" wydało się ogółem o wiele słabszem, aniżeli na naszej scenie, z naszemi siłami wyłącznie zazwyczaj wydaje.

Część ekonomiczna.

= **Kasa ubezpieczeń dla robotników** ma być wedle ustawy państwowej otworzoną dla Galicji i Bukowiny we Lwowie, a ministerstwo spraw wewnętrznych wezwało już Namiestnictwo do przeprowadzenia kroków przygotowawczych a mianowicie do przedstawienia wniosku, co do zamianowania tych członków zarządu kasy, którzy na przedstawienie Namiestnictwa i Wydziału krajowego przez ministra spraw wewnętrznych do zarządu powołani być mają i których będzie zadaniem przeprowadzić wybór reszty członków zarządu. Zarząd bowiem kasy składać się ma z 18 członków, a to 6 mianowanych przez rząd, 12 wybieralnych. Z sześciu członków mianowanych, przedstawia 4 galicyjskie Namiestnictwo na przedstawienie Wydziału krajowego, 2 rząd bukowiński.

Na czterech nominowanych członków zarządu przedstawił Namiestnictwu Wydział krajowy pp. dr. Bronisława Łozińskiego, radzcę namiestnictwa; dr. Domaszewskiego, dyrektora Banku krajowego; M. Krasuskiego, sekretarza krak. Towarzystwa ubezpieczeń; dr. Tadeusza Skałkowskiego, posła i adwokata krajowego; Leona Chrzanowskiego, członka Wydziału krajowego; dr. Zdzisława Marchwickiego, dyrektora banku kredytowego.

= **Pocztowe kasy oszczędności.** W komisji budżetowej Izby posłów przy tytule „Pocztowe kasy oszczędności" dał rząd szczegółowe wyjaśnienia o rozwoju tej młodej instytucji. Pomimo, że nowelą z 1 grudnia 1887 umiejszono stopę procentową od czeków i zaprowadzono pewne opłaty należytości, ruch wzmógł się znakomicie w interesie czekowym w r. z., gdyż ilość zawartych transakcji, która wynosiła w r. 1887 w zaokrągleniu 4.9 mil. poszczególnych transakcji, wzrosła w r. 1888 do 5.5 mil. a całkowity obrót doszedł do cyfry półtora miljarda. Wraz z skapitalizowanemi prowizjami saldo czekowych wkładek z końcem r. 1888 urosło do kwoty 28 mil. W wkładkach oszczędnościowych widocznym jest również pomyślny rozwój, wzrosły one o 1.3 mil. a liczba wkładkujących wynosiła 653.000 osób, tak iż na 1000 mieszkańców Przedlitawji dwudziestu ośmiu posiada pocztowe wkładki oszczędności.

Preliminowany czysty dochód nietylko został osiągnięty, lecz o wiele przewyższony, a posłuży on najpierw ku spłaceniu państwu zaliczonych kasom pocztowym funduszów, a w drugiej linji ku wzmocnieniu zapasów rezerwowych.

= **Żupy i warzelnie soli w Galicji** nie produkowały soli w miesiącu grudniu, lecz z zapasów sprzedały w tym miesiącu 102.133 centn. metr., a przeto mniej o 3159 cntn. metr. niż w tym samym czasie 1887 r.

= **Sprawozdanie** z targu zbożowego na Kleparzu dnia 19 lutego.

Na dzisiejszym targu na Kleparzu przy średnich dowozach usposobienie było w ogóle spokojne i tylko na jęczmiona, zwłaszcza w celnych gatunkach, większą zwracano uwagę jak dotychczas.

Pszenica i żyto krajowe w cenie utrzymują się dość stale, lecz potrzeby kupujących nie zwiększają się i dlatego odbyt ogranicza się do pomniejszych partyj. Pszenica transitowa z powodu podniesienia się kursu rubli znowu uległa zniżce.

Płacono za pszenicę białą zł. 7.75 do 7.85, za czerwoną 7.40 do 7.80, za żółtą 7.40 do 7.75; za żyto 6.— do 6.35, za jęczmień 6 — do 6.75, za owies 6.15 do 6.45 (z akcyzą). — Wszystko za 100 kilogramów.

Wiedeń 18 lutego.

W obec wiadomości z Pesztu, iż niedzielna demonstracja skończyła się spokojnie, rozpoczęto dziś czynności w spokojniejszem usposobieniu, lecz w transakcjach w międzynarodowych papierach wyczekiwano na notowania berlińskie. Ograniczono więc ruch na lokalne papiery, a przeważnie bankowe. Z tych miały dość wyjątkowe powodzenie Bankvereiny i Uniony, bo o pierwszych głoszono, iż mimo przeniesienia znacznej części zeszłorocznego zysku na rachunek roku bieżącego dadzą one 7 proc. dywidendy, a drugie forytowano na wiadomość, iż bank ten bierze udział w założeniu greckiego banku hipotecznego. Obok tych dwóch papierów cały prawie ruch zestrzelał się w akcjach obu fabryk broni. Z nich austrjackie akcje wbrew usiłowaniom kulisy trzymały się silnie i nie dały się zepchnąć z wczorajszego kursu, kiedy węgierskie już od rana spadały.

Z południem ruch osłabł, gdyż Berlin nadesłał słabsze notowania. Tam obok obawy o blizki zgon króla holenderskiego, poczęły nurtować potężne wpływy, wrogie konwersyjnym planom rosyjskim, ruble zaczęły spadać a za ich spadkiem poszło wiele spekulacyjnych papierów niemieckich. W skutek przeto słabszych kursów berlińskich nie utrzymały się przy zamknięciu giełdy poranne awanse lub nie utrzymały się w całej pełni, a nawet renty i ruble nieznacznie spadły. To samo powtórzyło się na giełdzie wieczornej, bo pod naciskiem liczniejszych sprzedaży usunęły się znów niżej węgierskie Waffeny i akcje tytoniowe.

W końcu notowano:

Kred. austr. 311·20, węgier. 314·25, anglob. 128·40, uniony 225·50, bankvereiny 109·—, länderbanki 226·—, ludwiki 206·50, czerniowiec. 224·75, renta papier. 83·30, srebrna 83·90, austrj. złota 111·35, papier. 98·80, węg. złota 101·30, papierowa 93·95.

Ruble 1·28 1/4 zł.

= **Z wiedeńskiego targu na bydło.** Na poniedziałkowy targ przypędzono bydła rzeźnego 4225 sztuk opasowego, — sztuk z paszy i 826 sztuk chudego. Razem 5051. — Między temi z Galicji przypędzono 287 sztuk opasowych i 87 sztuk chudych, z Bukowiny 38 sztuk opasowych i — sztuk chudych. — Ogółem przypędzono o 1202 sztuk więcej, a z samej Galicji o 42 sztuk więcej niż zeszłego tygodnia. — Tendencja zakupna była dość słaba. Ceny spadły w porównaniu z zeszłotygodniowemi o 1 do 2 zł. — Nie sprzedano 11 sztuk.

Płacono galicyjsko-bukowińskie woły opasowe po 47 do 52, towar przedni po 53 do 55 zł., a wyjątkowo — zł.; węgierskie woły opasowe po 47 do 55 zł., towar przedni po 56 do 58 zł., wyjątkowo do 59.— zł., a z innych krajów koronnych woły opasowe 50 do 56 zł., towar przedni 57 do 60 zł., wyjątkowo 61 zł.; krowy 50 do 56 zł., bubaje 50 do 52 zł., bawoły po — do — zł. za centnar metryczny towaru zabitego.

Bydło chude po 26 do 122 zł. za sztukę.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 20 lutego. *Vaterland* ogłasza odpowiedź Papieża na kollektywne pismo austrjackich biskupów z grudnia z r., podnoszącą, że tego rodzaju manifestacje pociechę sprawiają Ojcu św. w dolegliwościach, które Go dotykają i wyrażającą radość z tego powodu, że biskupi pomimo to, iż uroczyste ich zebranie odłożonem zostało, nie zwlekali z zamanifestowaniem swojego przywiązania do Stolicy św. W końcu Ojciec św. powiada: „Manifestacja ta nabiera nowej wartości przez to, że w piśmie nie przebija się ani wahanie się, ani zwątpienie, lecz wyrażoną jest silna i niewzruszona ufność w odwiecznego Stwórcę Kościoła". Poczem udziela Papież Apostolskiego błogosławieństwa klerowi i wiernym wszystkich djecezyj.

Wiener Ztg. ogłasza ustawą dotyczącą budowy kolei żelaznej z Mostaru do Serajewa.

Budapeszt 20 lutego. Najj. Pan przyjmował hr. Kalnoky'ego, ministra wojny Bauera, i naczelnika sztabu jeneralnego, Becka.

Ateny 20 lutego. Sesja parlamentarna została po uchwaleniu budżetu zamkniętą.

Pokój zbrojny.

Jeden boi się drugiego
Obaj patrzą na trzeciego,
Wszyscy jak do boju zbrojni
Mówią tylko o tej wojnie
Zapytania słychać wszędzie
Kiedy już ta wojna będzie?
Z każdą wiosną jej czekamy
Długoż jeszcze czekać mamy?

Już 3 lata, jak na kresy
I Kałmuków i Czerkiesy
Car wysyła z głębi kraju
I dopóki stać tam mają?
Szkoda drogi co przebyli
Niechby się raz przecie bili!

Austrja landsturm wymyśliła
Wojowników wielka siła
Niecierpliwie czeka chwili
Kiedy już się będą bili!

Prusak na wypadek wszelki
Zrobił z kraju obóz wielki,
W magazynach prowiant gnije
Czemuż już się raz nie bije?

Francja w tyle nie została
Uzbrojona także cała
Żołnierz na żołnierzu siedzi
Kiedy już ta wojna będzie?

By nie byli w tyle sami
Sypią Włosi miljonami
Na armaty – na flotylę
Nie chcą bowiem zostać w tyle!
Belgijczyki — Szwajcarowie
I Bułgarzy i Serbowie
Zbroją także się do wojny.
A tymczasem świat spokojny
Jeden boi się drugiego
Pókiż jeszcze będzie tego?

Zima mija — może z wiosną
Usłyszymy wieść radosną
„Wojna" — A słowo się ciałem stanie
Lecz kto hasło da — pytanie?

Przyjechali do Lwowa

dnia 20 lutego 1889.

Hotel Żorża: J. Bartusch z Wiednia. A. Rosenthal z Berlina. Dr. J. Stasiński z Poznania. A. hr. Cetner z Podkamienia. St. K. K. i St. hr. Stadniccy i A. Sokołowski z Podola ros. M. hr. Dzieduszycki z Sambora.

Hotel Europejski: Książę K. Czartoryski z Wiednia. V. Chrząszcz z Słowity. Dr. Weinstein z Tarnopola. W. Ronka z Drohobycza. K. Zaleski z Królestwa.

Hotel Langa: M. Preis i B. Hardh z Wiednia. L. A. Kann z Londynu. E Schlesinger z Oświęcima. S. Hoeniger z Przemyśla. A. Loria z Krakowa.

Hotel Angielski: B. Kapliński z Korczowa. A. Krokoszyński z Złoczowa. K. Wartanowicz z Hubina. A. Dwornicki z Bruckenthalu. M. Kuźniarski z Wareża.

Z zbożowych targów.

20 lutego	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Czerniowce
Pszenica	6·55—7 10	6.50—7.20	6·10—7.—	6·85—7.40
Żyto	5.20—5 60	5.10—5.35	5.10—5.50	4.70—5.15
Jęczmień	5.50—6 75	5.50—6.50	5.20—6.50	5.——6 75
Owies	5.40—6.25	5.25—5 85	5 16—5.75	5.——5.50
Groch	6.— 10.50	6.— 10 —	6.— 10.—	4.40 9.—
Wyka	5.25 5 7.	5.—— 5 60	5.——5.50	4.10—4,8
Rzepak	13.—13.60	12 80 13 10	12 70 13·40	10.—11.1
Lnianka	—.—.—	—.—.—	—.—.—	—.—.—
Konic. czerw.	52 —60 —	48.—59 —	48.—.50—	55.—43.—
Konic. biała	45.—56 —	45.—56 —	45.—55.—	31.—88
Konic. szwed.	55 – 75	—.—.—	—.—.—	—.— 20 50

wszystko za 100 kilo netto bez worka.

Rzepak poszukiwany.

Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł. 24—48 nominalnie

Nowy chmiel od — do — złr. za 56 kilogramów.

Okowita za 10·000 litr. proc. Lwów loco 31·— do 32 — Wiedeń 20 lutego Pszenica 7·82 do 7 84 na jesień 7·78 do 7·80 na wiosnę r. 1889 7·65 do 7 67 na Maj-Czerwiec 7 76 do 7·78. Żyto wios. 6·14 do 6 16 zł. na Maj-Czerwiec 6 24 do 6·28. zł. Owies wios. 5·73 do 5·78 zł. na Maj-Czerwiec 5 85 do 5·87 zł. Okowita 16·—— do 16 15—. Peszt 20 lutego. Pszenica 7 51 do 7 53 na wiosnę r. 1889 7 36 do 7 37 Żyto —·— do —·—, Owies —— do ——, na wiosnę r. 1889 5 29 do 5 31. Okowita 14 75 do 15 —. Berlin 20 lutego. Pszenica —— na wiosnę 194·— do 196 —, Żyto —— do —·— na wiosnę 151·—. do 153 50 Owies —·—, na wiosnę 139 —. do —·— Okowita 53 70. do ——, na wiosnę —·— do —·—.

Lwów. Z Izdy handlowej 20 lutego 1889.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud 200 zł m k	205 50	209 —
„ lwow.-czer-jass. 200 zł w a	222 75	226 —
Banku hip. galic. 200 zł w a	289 —	293 —
„ kredyt. galic. 200 zł w. a	— —	216 —
2 Listy zastawne za 100 zlr.		
Banku hyp. galic. 5 prc. w. n.	100 10	101 10
6% Listy zastw. Galic. Zakładu kredytowego ziemskiego 36 let.	— —	— —
Banku hyp. galic. 5 prc. 10% pr.	103 15	104 15
Banku krajowego 4 1/2 % w. a.	96 65	97 65
Tow. kred galic. 5 „ „ „	100 60	101 60
„ „ „ 4 „ „ „	96 —	97 —
„ „ „ 5 „ „ „	100 60	101 60
„ „ „ 4 „ „ „	93 25	94 25
„ „ „ 4 1/2 % „	97 50	98 50
„ „ „ 4% „ „	92 —	93 —
3. Listy dłużne za 100 zlr		
G. Z. kr. wł. ( ) 6 1/2, 3 %, w likw.	— —	57 50
„ „ „ „ (d) 5 ,2 %,	— —	48 —
4. Obligi za 100 zlr.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104 50	105 50
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. 1 em.	100 —	101 —
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	103 25	105 —
„ „ 1883 4 1/2 % „	95 —	96 —
5. Losy		
Losy miasta Krakowa	22 50	24 50
„ „ Stanisławowa	33 —	35 —
6 Monety		
Dukat holenderski	5.62	5.72
Dukat cesarski	5.64	5.74
Napoleondor	9.56	9.66—
Półimperjał rosyjski	9 84	9 94
Rubel rosyjski srebrny	1 36	1·48
„ „ papierowy	1·27 3/4	1·29 3/4
100 marek niemieckich	59 —	60·—

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 20. lutego godz. 1. min. 45.

Akcje kredyt	311·40	Węg. kolej półn. wschodn.	179 50
Alpiny	57·40	Wiedeńskie losy kom.	144 25
Kredyty węg.	314·50	Akcje tyton.	111 50
Anglobanki	129·20	Gal. obl. indem.	104 75
Uniony	229·90	Elbethale	203 —
Ludwiki	206·—	Länderbanki	226·50
Nordbahny	251 75	Renta zł. węg.	101·25
Lombardy	100·50	Bankvereiny	109 40
Losy tureckie	23·—	Renta węg. pap.	93 90
Staatsbahny	251·50	Ruble	1·28·87
Czerniowieckie	224 50		

Usposobienie silne.

33)

OFIARA FATALIZMU.

POWIEŚĆ

Ksawerego de Montépin.

(Ciąg dalszy).

— W istocie, jak mgła ulotna, znikają oni, nie pozostawiając po sobie śladów. W tej chwili skazani jesteśmy wyłącznie na spodziewanie się wszystkiego tylko po szczęśliwym wypadku, który da nam w ręce koniec przewodniej nici i dozwoli nam, nowym Tezeuszom, iść na bój z minotaurem w jego jaskini. Jednakże, wzywając pomocy losu albo, używając właściwego i godniejszego nas wyrażenia, pomocy Opatrzności, nie zaniedbałem równocześnie nic coby jej dopomódz mogło... Począwszy od jutra, większa część brygad żadarmerji z całego departamentu skoncentruje się w około Tulonu, i wtedy, wolno nam spodziewać się przypuszczać, że...

Druga figura kontredansa oderwała Diannę i nie dozwoliła jej dosłuchać końca tej mówki, z której wymowny urzędnik istotnie nie był bynajmniej niezadowolonym.

Kiedy, po upływie dwóch czy trzech minut, piękna panna powróciła na miejsce opuszczone, prokurator królewski odpowiadał na zapytanie, zadane mu przez któregoś z interlokutorów.

— Tak, panie, — mówił — więcej niż czterech, Bogu dzięki!!... Piąty — jeden z galerników najbardziej może niebezpiecznych, nazwiskiem Piotr Farrie, został zabity wczoraj wieczorem z ręki młodego oficera, siostrzeńca jednego z bogatych obywateli okolicznych, pana barona de Labardès... Opatrznościowa interwencja tego młodzieńca ocaliła prócz tego jeszcze życie przyjaciela... którego koń rzucił między zbrodników napół zadławionego i przebitego już nożem.

— A! do licha!! — zawołał ktoś, który świeżo przystąpił do tej grupy. — Przeciw komuż to ten zamach morderczy był wymierzony?...

— Przeciw osobie nadzwyczaj zajmującego i miłego chłopca, którego musisz pan znać i którego posiadłość graniczy z tym majątkiem, — odpowiedział prokurator królewski, — przeciw osobie pana Jerzego Herbert.

Dianna słuchała, jak wiemy.

Ciekawość jej obudzoną była całą poprzednią opowieścią. Posłyszała nazwisko Jerzego Herbert, to nazwisko, które ona sama przed kilku godzinami jeszcze wymawiała lub sądziła, że wymawia z najzupełniejszą obojętnością, posłyszała je przyczepione do tych słów paru przejmujących zgrozą: przebity nożem, morderstwo... Poczuła dziwny jakiś, dojmujący ból w sercu, pobladła, słabe westchnienie wyrwało się z jej ust i zmuszoną była użyć całej siły, aby się nie zachwiać.

Solo skrzypcowe właśnie się skończyło... janczarki orkiestry zagrzmiały.. tancerz Dianny pochwycił jej rękę i pociągnął ją za sobą w wir kadryla.

Nikt nie spostrzegł tego przelotnego żywego wrażenia po którem nie pozostało żadnego innego śladu nad bladość na aksamitnych licach pięknej Prowansalki.

Figura ta była już ostatnią tego kontredansa... orkiestra zabrzmiała końcowym akordem i umilkła.

Dianna zamiast powrócić na miejsce obok matki, poszukała w tłumie panny de la Fresnaye i wynalazła ją też nie bez pewnej trudności wprawdzie.

— Estero, — szepnęła jej półgłosem, ujmując pod ramię, — chodź..

— Gdzież to chcesz iść? — spytała ciekawie wnuczka margrabiego Salbert.

— Do twego pokoju..

— Ależ w takim razie żadną miarą nie miałybyśmy czasu powrócić na następnego kontredansa.. Przed upływem trzech minut rozpoczną...

— Trzeba koniecznie, abyśmy wyszły na chwilę.. Duszno mi tutaj, potrzeba mi powietrza... jestem cierpiąca...

— Cierpiąca!! — powtórzyła Estera zaniepokojona mocno — o! mój Boże!... Ależ to prawda.. jakaś ty blada!... Co ci jest, kochana Dianno?...

— To nic... za chwilę to przejdzie. Mów ciszej... nie chcę niepokoić mamy, która gdyby wiedziała, że mi niedobrze, chciałaby wywieść mnie z balu..

— A więc chodź... odparła panna de la Fresnaye z bohaterską abnegacją, nie zejdziemy napowrót zanim nie przyjdziesz zupełnie do siebie...

Obie panny opuściły razem salony recepcyjne i przez boczne schody i labirynt kurytarzy dostały się do pokoju Estery.

Zaledwo tam przybyły, Dianna rzuciła się na sofę i wzruszenie tajone wybuchnęło z tem większą siłą, że było tak długo i usilnie powstrzymywane.

Serce biednej dziewczyny poczęło rwać się jak uwięziona w klatce ptaszyna, co się z niej gwałtem wydziera na wolność. Ukryła twarz w obu dłoniach i wielkie łzy jak perły poczęły spływać po jej twarzy.

— Dianno!! kochana Dianno!! — zawołała Estera wzruszona i wylękła, przyklękając obok przyjaciółki, której ręce pochwyciła w swe dłonie, — czemu ty płaczesz?

— Ja nie wiem — wyszeptała panna de Presles.

— Czy cię co boli?...

— Nie.. Przed chwilą czułam ból jakiś, ale to tak dobrze módz się wypłakać...

— Czy ci kto lub co sprawiło przykrość?..

— Nie.

— Z pewnością.

— Zapewniam cię...

— Jednakże płaczesz... a przecież nie płacze się bez powodu, — nastawała panna de la Fresnaye.

— I ja sądziłam tak dotąd.. ale zdaje się, żeśmy obie były w błędzie... — odpowiedziała Dianna, uśmiechając się z po za łez.

Uśmiech ten podobnym był do słonecznego promienia, co się przedziera przez chmury i potoki deszczu w chwilę burzy.

Odpowiedź ta nie zadowolniła w zupełności panny de la Fresnaye.

— Przykroby mi było zaprzeczać ci, moja droga, — odparła z minką najfiluterniejszą w świecie; — trudno wszakże wytłómaczyć sobie, żeby kogoś nagle, pośród balu, przejął taki smutek, żeby się poczuło taką potrzebę samotności i potrzebę zalewania się łzami bez najmniejszej złej czy dobrej przyczyny... A temu trudno dać wiarę!..!

— A przecież to najzupełniejsza prawda...

Panna Estera wstrząsnęła głową.

— Zobaczmyż, — powiedziała, — zkim to tańczyłaś ostatniego kontredansa?...

— Z jakimś panem, którego zawsze zapominam nazwiska i który zajmuje w Tulonie w jakimś zarządzie ważne stanowisko...

— Czy ładny jest i młody?...

— Ani jedno, ani drugie.

— Dobrze... A o czemże mówił ci ten jegomość, ani młody, ani ładny.

— Nie wiem...

— Jakto! nie wiesz?...

— Tak... nie słuchałam..

— Jeśli nie słuchałaś co ci mówił twój tancerz, to musiałaś słuchać co mówił ktoś inny... Mówiono po za tobą, nieprawdaż?... Cóż to mówiono?...

— Nie wiele wiem... mowa była o ucieczce więźniów, o śmierci jednego z nich... o zabójstwie młodego człowieka... waszego sąsiada.

— Pana Jerzego Herbert? — zapytała Estera.

— Tak...

— No, nie zabito go znów tak bardzo, zapewniam cię, — ciągnęła młoda dziewczyna.. — wyjeżdżałyśmy po południu powozem z babką. spotkałyśmy go. jechał konno, ukłonił nam się w przejeździe..

— A! — szepnęła Dianna.

— Czy ty go znasz, — tego pana Jerzego Herbert?...

— Cokolwiek... bywał u mego ojca dawniej... teraz już nie bywa...

— To tak jak tutaj... na skutek głupiej jakiejś rozprawy z moim dziadkiem... a szkoda, bo to był wyborny tancerz...

— Nieprawdaż?... — spytała żywo Dianna.

Estera poczęła śmiać się śmiechem dziecka, świeżym i dźwięcznym.

— No, — zawołała po chwili, — teraz rozumiem już...

— Co rozumiesz?... — spytała panna de Presles z mimowolnem pomięszaniem.

— Zrobiło ci się nagle niedobrze, skoroś się dowiedziała, że panu Herbertowi zagrażało niebezpieczeństwo, a teraz kiedy wiesz, że nic mu się nie stało, ot powracają ci już na twarz rumieńce, jakby je kto nakładał na policzki pastelą... Zdaje mi się, że to dość wyraźne...

— Cóż ty więc przypuszczasz?... — wybąknęła Dianna, której twarz oblał gorący rumieniec.

— Ależ po prostu to, że raczysz zajmować się nieco panem Herbert... Nic w tem przecież nie ma złego...

— Estero!..

— Co kochana moja?...

— Tyś szalona!...

— O, ani troszeczkę! — odpowiedziała młoda dziewczyna, której twarz niezbyt ładna ale wymowna bardzo, przybrała wyraz pewności niesłychanie zabawny. — Byłam na pensji droga moja, znam przewybornie świat i serce ludzkie!... Kiedy *duże* mówiły między sobą, ja zawsze słuchałam... to mi dało doświadczenie!... Nie sposób mi dziś mylić się! Wierzaj mi, Dianno, serce twoje przemawia za panem Herbert.

Żywy inkarnat policzków pięknej Prowansalki zamienił się w purpurę gorejącą, która zalała twarz jej aż po skronie.

— Estero.. droga Estero... — rzekła niemal błagalnym tonem — twoje przypuszczenia istotnie są bezsensowne... Zaklinam cię, dajmy temu pokój...

— Dajmy pokój skoro chcesz, — odparła panna de la Fresnaye,—pojmujesz przecie, że za nic w świecie nie chciałabym sprawić ci najmniejszej przykrości... niemniej przeto pozostaję przekonaną o prawdziwości moich domysłów..

Następnie kiedy twarz Dianny przybierać poczęła wyraz wielkiego niezadowolnienia, Estera zmieniła przedmiot rozmowy.

— Czy ci już teraz zupełnie dobrze?... — spytała.

(C. d. n).

Anonse PP. Abonentów.

Które każdy abonent ma przywilej umieszczać bezpłatnie w objętości 12 wierszy miesięcznie.

Nauczyciel języka niemieckiego, władający oraz i językiem francuskim, pedagogo wykształcenia gimnazjalnem z kwalifikacją nauczycielską na szkoły wydziałowe, a tem samem i seminarja nauczycielskie życzy sobie przyjąć miejsca prywatnego. Bliższa wiadomość u p. Mieczysława Baranowskiego, inspektora szkół miejskich (w Magistracie.)

Kapelusze, czepeczki strojne i wizytowe według najnowszych fasonów poleca po nader umiarkowanych cenach H. Nowak ulica Kopernika l. 7. Zamówienia z prowincji zaraz uskutecznia. Przyjmuje również pióra do farbowania.

Na zapusty poleca pracownia sztucznych kwiatów Sabiny Teodorowiczówny, Ossolińskich 11, dom X. Sapiehy, garnitury balowe i wieczorkowe oraz kwiaty dekoracyjne po cenach umiarkowanej.

Poszukuję ucznia do praktyki gorzelnianej z ukończoną niższą szkołą realną lub gimnazjum. Bliższe warunki listownie Alojzy Wdówka w Tyczynie, p. Tyczyn.

Otrzyma miejsce na wsi kawaler lokaj ogrodnik albo kucharz ogrodnik. Zgłoszenia przysyłać pod adresą: Z M. Łuczyce Przemyśl.

Uczni do fachu kominiarskiego w wieku od 16tu lat z ukończoną przynajmniej 2gą klasą, przyjmie majster kominiarski Józef Leitner w Stryju. Porozumienie z rodzicami tychże listownie.

Są do sprzedania po niskiej cenie 4 ogiery czystej krwi arabskiej, maści jasnozłoto-kasztanowatej, miary około 155 centimetrów, pojedyńczo lub razem do odstąpienia — w zaprzęgu wszystkie 4 najspokojniej chodzą. Adres: Zarząd dóbr Skwarżawy Starej, ost. poczta Żółkiew.

Futro męskie miejskie, z osoby średniego wzrostu, mało używane, za cenę mierną nie wygórowaną kupię. Bliższa wiadomość pod adresą: R. K. ul. Zulińskiego l. 3. u stróża.

Potrzebny jest ogrodnik uzdolniony do prowadzenia traibhauzu, oranżerji, ogrodów jarzyn, owoców, sadu i parku z kwiatami, gazonami. Posada zaraz do obsadzenia. Kompetujący ma się przedstawić ze świadectwami osobiście do właściciela w Glinnie, stacja kolei i poczta Zborów.

Potrzebny jest pszczelarz rutynowany, do prowadzenia pasieki 200 pni dzierżonów, kompetujący ma się przedstawić ze świadectwami kwalifikacji osobiście do właściciela w Glinnie, Stacja kolei i p. Zborów.

P. Brzeżany Łapszyn. Bulion prawdziwie dobry proszę o drugie 5 kilo. W. P.

Dom murowany o 28 ubikacjach przynoszący rocznego dochodu 1.100 złr. jest za bardzo przystępną cenę zaraz do nabycia w Grybowie. Bliższych wiadomości udzieli pan Wł. Swierczyński w Grybowie.

Piesek ciemno popielaty, charcik, który zbłąkany znalazł gościnność w willi Nr. 11 na Piekarskiem — czeka tamże, aby go właściciel zechciał jak najprędzej odebrać.

W Burtach, poczta Horożanka, jest do sprzedania kompletna 6cio stronna maszyna do młócenia ze stojącym kieratem, wialnią i pasami, w dobrym stanie za mierną cenę, z powodu zmiany gospodarstwa. Zarząd dóbr.

Biuro komisowo służbowe W. Wereszczyńskiego Lwów, ul. Krakowska l. 15. wysyła bezwłocznie na łaskawe zlecenie do wyboru kopje świadectw i (osobistych referencji) najzdolniejszych Oficjalistów wszelkich zawodów i służby najlepiej poleconą zastosowując się ściśle w wyborze do wymagań Wielm. P. Chlebodawców bez policzenia kosztów korespondencji.

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Masłowski — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni szr. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodań